

Nr
23 (67)
cena
1 zł

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok II. ŁÓDŹ, dn. 7 czerwca 1959 r.

KAROL BADZIAK

KATAKUMBY ZAKRZEPEŁEJ MĄDROŚCI

Ostrzegam! Rzecz pisałem lewą ręką, a na nosie miałem modne w obecnym sezonie okulary. Jak się patrzy w dół, to świat wygląda dość różowo, ale im wzrok podnosimy wyżej, tym obraz nabiera barwy ciemniejszej.

Pracownicy wydawnictw otrzymali nagrody, bibliotekarze odznaczenia, czytelnicy wzbogacili swe prywatne zbiory, a dziennikarze odebrali już wierszówki za wykonane z tej okazji wstępniaki. I tak minęły Dni Oświaty. Książki i Prasy. Skończyło się święto, a zaczął normalny, zwykły dzień pracy. Właśnie w taki zwykły dzień odwiedziłem czynny już magazyn budującej się jeszcze Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi. Nie mogę się pochwalić że należę do częstych gości tej placówki, a właściwie w maga-

zynie Biblioteki znalazłem się po raz pierwszy.

Wrażenie jest imponujące, powiedziałbym nawet patetyczne. Oglądam dziesiątki i setki tysięcy woluminów i ogarnia mnie duma, że przynależę do tego samego gatunku, który to wszystko stworzył. Stoją przede mną szeregi regałów wypełnione po brzegi księgami zawierającymi w sobie zmagazynowany, wielowiekowy dorobek ludzkiego rozumu — wiedzę człowieka o człowieku i świecie.

Podświadomie rewiduję swój cyniczny stosunek do tych spraw i cieszę się, że właśnie Łodzi przypadła w udziale ta najnowocześniejsza w Polsce biblioteka. Należy pamiętać, że Biblioteka Uniwersytecka, której budowa dobiega końca, jest największą tego rodzaju inwestycją w Polsce po wojnie. Posiada ona niezmiernie doniosłe znaczenie i stawia nasze miasto w rzędzie jedne-

go z największych ośrodków naukowych w kraju, rozstrzygając automatycznie dyktowany problem, czy Łódź ma być miastem uniwersyteckim.

Dużą zasługę w tej mierze posiadają łódzcy bibliotekarze, a szczególnie Zygmunt S. Dylik — twórca pierwszych założeń nowej biblioteki. Głównym projektantem budowli jest zdolny łódzki architekt średniego pokolenia inż. Edward R. Orlik.

Kubatura Biblioteki Łódzkiej równa się niemal kubaturze Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Magazyn Biblioteki pomieści jeden milion tomów (obecnie za-

Dalszy ciąg
na str.
6



„Ciebie nie skuszą wczasy pod gruszką?”



Tekst i zdjęcia
WIESŁAW MACHEJKO



Miasteczko 117 namiotów wyrosło w ciągu dwu dni po lewej stronie drogi prowadzącej do Sieradza. Wyglądało po części jak targi poznańskie — nad mnogością dachów dominowały elementy dek racyjne: białe-czerwone flagi, olbrzymi krzyż harcerski — zaś po części jak obóz wojskowy, tak panował tu ład i porządek. Wystarczyło z drogi skręcić w lewo by znaleźć się w miasteczku. Włec skręcam i wtem wyrasta przede mną funkcjonariusz służby ruchu. Obowiązkowe mankiety z czerwonym kółkiem. Wyjaśniam, że ja właśnie do obozu. Harcerz sprawdza zaproszenie. Salutuje, wskazuje drogę.

Spotkany po drodze pierwszy harcerz sygnalizuje zarazem pierwszy problem.

Ma chłopak może 14 lat, a przepisy drogowe w jednym palcu. Bo jego zainteresowania idą właśnie w tym kierunku. Może chce być milicjantem i łapać co minuta niesforne kierowców na skrzyżowaniu Piotrkowskiej i A. Struga, może chce być kierowcą?

Oto defilada. Ulica, wśród wiwałów pędzi z ryczącą syreną wóz strażacki. Załogę jego stanowią mali harcerze. Pasjonują się walką z pożarami. Zainteresowania te nie



ZLOT

pozostają w sferze marzeń. Drużynowy zaprowadził ich do remizy, obejrzelni sobie samochody, motopompy, sikawki. Przymierzali helmy, przypasali topory. Zupełnie jak dorośli strażacy. A ty, Czytelniku, czy nigdy nie chciałeś być strażakiem, kolejarzem, radiotechnikiem, marynarzem, pilotem, podróżnikiem?!

Jeżeli organizacja młodzieży zapewni realizację rajszych marzeń, przynajmniej w tej części jak jest możliwa, zyskuje zaufanie, sympatię, popularność, zyskuje serca młodych ludzi.

Mamy w tej chwili na ziemi łódzkiej nie licząc samego, miasta 36 tys. harcerzy. Ilu jest ich w Łodzi widzieliśmy na

»Dokończenie na str. 5)



WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

Skąd tyle SENSACJI?

Na tle lekkiej posuchy w naszej prasie, reportaż K. Frejdlicha i M. Regla, zamieszczony niedawno w dwóch kolejnych numerach „Odgłosów” — stał się swoistym szlagierem, o rozmaitej sławie. Przyznajmy — nienajlepszej sławie, przynajmniej pośród wielu studentów łódzkich. Pomyśleć tylko! Sypią się listy do redakcji, chociaż sezon ogórkowy za pasem — mniej lub więcej wydarzeń publicznych próbują polemiki, w miasteczku akademickim odbywają się wiece protestacyjne. Doprawdy, rzadko które wydarzenia tak bardzo podnosi temperaturę.

Nie wspominam tu artykułu Henryka Pawłaka z pewnego organu łódzkiego, choć napawa on optymizmem. Nie zanika w narodzie sztuka długiego mówienia o niczym, rosną nowe kadry. Złośliwcy.

Zenon Krostawo pisze w „Życiu Akademickim” („Dziennik Łódzki” nr. 120): „Można chyba mieć nadzieję, że dwu niefortunnym „reportażystom”, Reglowi i Frejdlichowi, uniemożliwi się po tym wyczynie rzucanie błotem na wszystkie strony, że szkoda dla dobrego imienia tysięcy łódzkich i nie tylko łódzkich studentów”.

Są to metody polemiczne o założeniu zupełnie jasnym — najpierw ścina się głowę, a potem można już sobie swobodnie dyskutować.

„Pewnie władze ich ukarzą — pisze studentka w liście do redakcji — ZSP chyba też to zrobi”.

Słowem takiego zaszczytu nie dostąpili autorzy daleko ostrzejszych wypowiedzi na temat miasteczka akademickiego w „Kulisach” i studentek „Od nowa”. W ogóle nie zostali zauważeni, Frejdlicha i Regla wzywano natomiast na wiecu, aby — jak mówi przysłowie — weszli pod stół i sami wszystko ogłaszali.

Dlaczego? Skąd tyle sensacji? Ze niby zły ten ptak

co własne gniazdo kała, a ten kto kała cudze, to dobry, nie zasługuje choćby na jeden tylko małeńki wiece? Myślę, że nie w tym rzecz. Nie wierzę też w nagłą zmianę nastrojów pośród akademików. Przecież nie jeden raz manifestowali przeciwko przemilczaniu drażliwych spraw, oklaskiwali odwagę publicystów rozmaitych pism z „Po prostu” na czele, choć ci właśnie publicyści nie jeden raz obrażali uczelnych ludzi, mimo najszlachetniejszych intencji. Czyżby chodziło o wolność wrzucania kamieni do każdego ogródka, wyjąwszy swój własny? Historia zawsze była potężną ironistką, zamieniała często obrońców swobód w ich przeciwników. Ale i te analogie wybitają mi się mało prawdopodobne, choć z racji „Chandry Bystrzyckiej” często się o nich mówi.

W dyskusji, jak to w dyskusji — walczy się czym kto umie: pałką, wazeliną, sankcją administracyjną, sercem z wyłączeniem rozumu, krzykiem, ale też i piórem, niezbitym dowodzeniem i argumentem nie do odparcia. Przyznać jednak trzeba, że w omawianym wypadku to ostatecznie akcesoria, niezbędne w rzetelnej dyskusji, wystąpiły — jak dotąd — raczej rzadko. Przecież jednak wystąpiły.

Uczestniczyliśmy w jednym z wieców studenckich, poświęconych „Chandrze Bystrzyckiej”. Uczestniczyliśmy dzięki pewnym zdobyczom demokracji, które pozwalają nawet niezaproszonym zasiadać przy prezydijskim stole. Byliśmy z góry przekonani, że gorączka musi mieć uzasadnione przyczyny. Ow wiec, trochę bezładny i krzykliwy, a także i listy do redakcji, odkryły część przyczyn niezwykłego rezonansu, jaki wywołał reportaż.

Zacznijmy od szczegółów. „Dlatego jako bezpośrednio poszkodowana domagam się przedstawienia mi argumentów niezaprzeczalnych właśnie na łamach prasy, proszę przedstawienia mi świadków, którzy stwierdziliby w konfrontacji ze mną mój stosunek do „Księcia Nocy” rzekomego” — pisze do redakcji bezpośrednio poszkodowana na zasadzie „uderz w stół”, prosząc o nieujawnianie nazwiska. Trud-

no będzie takiej prośbie uczynić zadość, nie wszystkie bowiem stosunki pomiędzy ludźmi są publicznej natury, często odbywają się bez świadków.

Szczegóły tworzą atmosferę, komplikują ją, gmatwują, ale nie należy ich lekceważyć. Oto inny szczegół istotny i jątrzący. Rzeczywiście, materiał zdjęciowy reportażu nie był dobrany najlepiej. A już autora podpisów zupełnie zawiódło poczucie humoru, zawiódł także i zmysł krytyczny redaktorów. Właśnie podpisy przydały się zdjęciom i reportażywi specyficznego posmaku, dopomogły czytelnikom w zagubieniu istotnej problematyki tekstu, na rzecz spraw przykrych, bolesnych i przecież nie jedynych w życiu akademickiego miasteczka. Wystarczająco jednak ważnych, aby o nich pisać.

Istnieje w życiu każdego młodego człowieka próg, który musi on przekroczyć. Chodzi o stosunek chłopca do dziewczyny. Czy ten problem, usymbolizowany na terenie miasteczka wprawieniem kraty, został dobrze rozwiązany? Chyba jednak nie i dlatego musiały przyjść przykre następstwa. A więc problem nie odszedł

sobie do historii, lecz nadal pozostaje otwarty. Z tym zgadzają się na ogół wszyscy, ale kiedy obaj autorzy przedstawili skutki — spojowali się z falą protestów.

Myślę, że to jest normalne. No bo jeśli autorom wolno mieć swoje zdanie na ten temat, wolno też mieć swoje czytelnikom. Wolno im twierdzić, iż na skutek niedopuszczalnego uogólnienia cała młodzież, a już szczególnie dziewczęta wyglądają tak, jakby rozkosze doczesne, próżniactwo i jałowe życie były ich naczelnym ideałem. Widziałem i rozumiem rozgoryczenie dziewcząt, które nigdy nie miały nic wspólnego z opisywanymi wydarzeniami. One są uczelne, stanowią zdecydowaną większość i dlatego nie chcą być „uogólnione”. Słusznie. Tylko, czy rzeczywiście zostały „uogólnione”?

Checiałbym się najpierw posłużyć cytatem z listu studenta do redakcji: „Sens artykułu pp. Marka Regla i Konrada Frejdlicha m. zna uchwylić po wnikliwej interpretacji i można stwierdzić, że panowie ci wcale nie generalizują, a podają fakty, które nie powinny mieć miejsca w domu, gdzie mieszka przyszła awangarda narodu, przyszła inteligencja... Ale nadal jednostki, jak np. p. Krostawo, posługując się wszystkimi dewizami Dulskiej i rozdzierając szaty wykrzykują: skandal w moim domu!, przeskakując Partii w jej pracy. A DS to nie tylko nasz dom, ale ten dom należy do społeczeństwa”.

Opina co do „uogólnienia” jest więc podzielona. Osobiście wahałbym się wydać sąd. Powiem tylko, że w sprawach tak czułych jak moralność i obyczaje zawsze jest wskazane jasne rozgraniczenie pomiędzy ziarnem i plewą. Nie można bowiem dla schwytania złodzieja, co jest przecież konieczne, aresztować tysiąca uczelnych. Sądzę, że dużo racji ma autorka listu, która pisze: „Jestem studentką. Czytałam „Chandrze”. Wiele w niej prawdy. Autorzy jednak nieco sprawę przeważili. Proszę autorom pogratulować. Oni pierwsi odważyli się coś więcej powiedzieć na nasz temat. I dlatego tyle sensacji”.

Nie pierwsi. Wspominałem już daleko ostrzejsze publikacje w „Kulisach” i studentek „Od nowa”. Ale przytrafiła im się zapewne ta odrobina niepotrzebnej przesady, która przechyliła szalę gorczy.

Ponad osobiste animozje, ponad naturalny w warunkach zaimprovizowanego wiecu chaos, wybiła się nuta bolesna z pewnością, ale właśnie ta nuta wydaje mi się szczególnie ważna. Młodzież skarżyła się na nie-

emny stosunek miasta do akademików. Myślę, że młodzież „uogólnia”, niesłusznie „uogólnia”, spełnia akurat ten sam grzech pierworodny swojego wieku, który zarzuca autorom „Chandry”.

Nie trzeba generalizować mówiąc o niechęci miasta, które wybudowało wielkim kosztem domy na Bystrzyckiej i buduje je nadal. Ostatnio RN m. Łodzi ufundowała nowe stypendia dla studentów, miasto buduje bibliotekę uniwersytecką, pomijając już skutek, oddała wyższym uczelniom nowe gmachy. Który ostatecznie uczynił z Łodzi wielki ośrodek akademicki?

Nieporozumienia i wzajemne żale jednak istnieją. Studenti skarżą się, słyszą na ulicach czy w tramwajach: My tu ciężko pracujemy, a wy? — powiadają robotnicy. Rzeczywiście powiadają niekiedy i to nie pod wpływem lektury „Chandry Bystrzyckiej”. Sprawa jest znacznie starsza. M. Regal i K. Frejdlich cenieli się jej dobrze przysłużyć. W odczuciu, niestety, najczęściej tylko emocjonalnym, ich zadających przeciwników, miała to być niedźwiedzia przysługa. Niezupenie. Możliwe, iż obrazy ukazujące niemoralne prowadzenie się niektórych przecięt tylko jednaki, zaważają ujemnie na wzajemnych stosunkach miasta i miasteczka, lecz poprzestać na takim stwierdzeniu to trochę niesprawiedliwe.

„...pragnę podkreślić — pisze student do redakcji — iż artykuł zamieszczony w „Ogłosach”, krytykujący bezbarwność i jałowosć codziennego życia na ulicy Bystrzyckiej, bezwzględnie ma na celu poprawienie tego stanu rzeczy i pragnie wciągnąć ZMS do działania na tym terenie, ale nieodpowiedzialnie „wyskok” ludzi pokroju p. Krostawca wszelkimi siłami pragną zatrzymać dążenia zdrowej części młodzieży. Dziwi mnie bardzo, że podobny, naprawdę antystudencki wyskok został zamieszczony w „Życiu Akademickim” i sądzę, że osoba, która do tego dopuściła kierowała się innymi względami niż dobro młodzieży studenckiej, bowiem tolerowanie i tuszowanie faktów zamieszczonych w artykule pp. M. Regla i K. Frejdlicha, stanowi wykreślenie moralne przeciw dobru młodzieży akademickiej”.

Jest w tym trochę przesady, ale napewno mniej niż w inkwizytorskim wystąpieniu nieznanego nikomu bliżej Krostawca. Jest w tym trochę słuszności. Sala, w której odbywał się wiec, nie jest wykorzystana, mówili studenci. Kontaktów z miastem brak, ani odczytów, ani dyskusji, ani spotkań choćby tylko z twórcami, nie

mówiąc już o szerokim ruchu, który wiązałby miasteczko z miastem. Czy nie o tym pisali autorzy „Chandry”? Kiedyś studenci, poprzez nie zawsze przemyślane wiece i manifestacje, nie zawsze słuszne i potrzebne formy protestu, przysparzali miastu wiele kłopotów. Pracowali na opinie, która potulają do dziś. Rozumiem, teraz jest inaczej. Ale czemu tak ciężko przebiega się ZMS do świadomości studentów? Niewiele jest do pokazania, wyjąwszy może WSE. Czy dlatego, że ZMS jest niemrawy? Zwadniczy argument, ta organizacja ma za sobą piękny szmat roboty z pozostałą młodzieżą miasta. Jest już realna możliwość współpracy ZMS i ZSP na Wyższych Uczelniach.

Pewna izolacja domów na Bystrzyckiej od miasta, w szerszym znaczeniu izolacja młodzieży studenckiej, jest faktem. I doprawdy nie wystarczy zabawowe formy kontaktów — pochody i karawany. Studenci skandajacy niedawno na ulicach Krakowa — d...! d...! z pewnością nie zbliżyli się do społeczeństwa. Nie wystarczy także święty i potrzebny „Pstrąg”. Proszę mi wybaczyć dobre rady, ale warto uświadomić sobie takie np. zjawisko — Polska chce być krajem ludzi uczących się. W łódzkich fabrykach obserwujemy pęd do nauki. Można by zorganizować patronaty studenckie nad fabrykami, polonistykę, matematykę, fizykę, historię, mogłoby pomóc ludziom w nauce. Przy wystarczająco licznych uczestnikach, nie ucierpią na tym studia. Można by patronować razem z ZMS pędowi do sportów, opiekować się dzielnicami miasta.

Falenie „Ogłosów”, czy milczenie, to kiepskie wyjście z sytuacji. Mogłoby nawet sugerować w pewnych wypadkach, że wszystkiemu winni „ci z maturą i ci co piszą”. Nie chciałbym więc tego prawda?



Dziś BELFER poucza na str.

— 10 —

Szanowny Panie Redaktorze!

Dobrze się stało że tak odwiecznie palący problem, jakim jest niewątpliwie sprawa młodzieży akademickiej, zaczęto poruszać na łamach Waszego pisma. Zagadnienie to jest szczególnie ważne dla środowiska łódzkiego, które jest środowiskiem młodym wkraczającym w pełny rytm atmosfery życia studenckiego. Problem ten nurtuje nie tylko studentów, lecz w równym stopniu i kadre nauczającą, która przecież jest tak blisko z młodzieżą.

Dzisiaj po 14 latach istnienia wyższych uczelni w Łodzi nadszedł już czas, aby można było myśleć o tym, w jakim kierunku powinny kształtować się właściwe drogi rozwojowe wzajemnego współżycia studentów, aby Łódź stawała się coraz bogatsza w tradycje akademickie. Zagadnienie to powinno być ambicją wszystkich tych, którym bliskie są sprawy studenckie. Wszyscy jednak chcielibyśmy aby tradycje i pomysły, które rodzą się w murach łódzkich uniwersytetów były oparte na zdrowych zasadach społecznych i moralnych.

Czy w realnych warunkach, w jakich znajduje się środowisko studenckie Łodzi, istnieją szanse na wyrobienie właściwych tradycji akademickich naszemu miastu? Opierając się na faktach, które wynikają z obserwacji codziennego życia studentów trzeba odpowiedzieć, że tak. Zdecydowana większość młodych ludzi, którzy odbywają studia w Łodzi, to ludzie pełni zdrowych zasad i ambicji społecznych.

Te fakty i ludzie zmuszają do prowadzenia pole-

miki z autorami artykułów zamieszczonych w „Ogłosach” pt. „W Chandrze Bystrzyckiej”. Temu kto przeczytał te artykuły nasuwa się pytanie — czy dyskusja podjęta na łamach Waszego pisma odnośnie spraw studenckich zaczęta została w sposób właściwy i czy zło które tam przedstawiono podane jest w słuszny sposób?

Autorzy tego artykułu przedstawili część społeczności akademickiej żyjącej w osiedlu na Bystrzyckiej w oczach przeciętnego czytelnika jako młodzież zła, opierając swoje spostrzeżenia na krótkiej obserwacji i przytaczając fakty dość odległe w czasie. Ostrożni w faktach, używając metod emocjonalnego zaangażowania czytelnika zaczęli zastanawiać się nad problemem „Joanny” popadając przy tym w krainę ciemności. Można mieć jeszcze pretensje do wielu form współżycia studentów, bowiem „odwłz” jaka zaczęła się w kierunku racjonalnej działalności samowychowawczej prowadzona jest od niedawna.

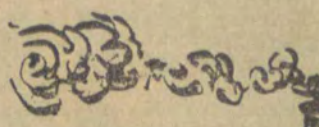
Spoleczność studencka jest zresztą bardzo skomplikowana, zarówno pod względem warunków w jakich kształtowała się jej osobowość, jak również w zakresie jej specyficznych cech.

Podjęcie rozsądnych kroków w poważnym problemie jakim jest problem właściwej pracy wychowawczej i kształtowania psychiki młodego inteligenta wymaga odpowiedniego czasu i wypracowania dobrych metod wychowawczych.

Nie można więc zacytować rozwiązywania tak ważkiego problemu, od wytwarzania wokół niego atmo-

(Dokończenie na str. 10)

Jan Jędror Setaudynger
PEŁNĄ ŁODZI MOJA!



Polska A Polsce B
każe się całować w d.

Na majówkę do Grotnik
Pierwszy ze mnie ochetnik.

OBRAZ ŁODZI
Weźmy dwie nitki, obraz będzie pełny
Nitkę z Piliicy i nitkę z bawełny.

Z tym pewnikiem się uporaj,
Prehistorią tu jest wczoraj.

WSTYD ŁODZIAN
Smuci i zawstydzą nas to
powiedzenie: Łódź, zle miasto.

DUSZE ŁODZIAN
Nasze dusze, jak klawisze,
Smród symfonie na nich pisze.

ŁÓDZKA LIRYKA
Czarne kolory łódzkiej liryki -
Samy Czarni i Czerniki.

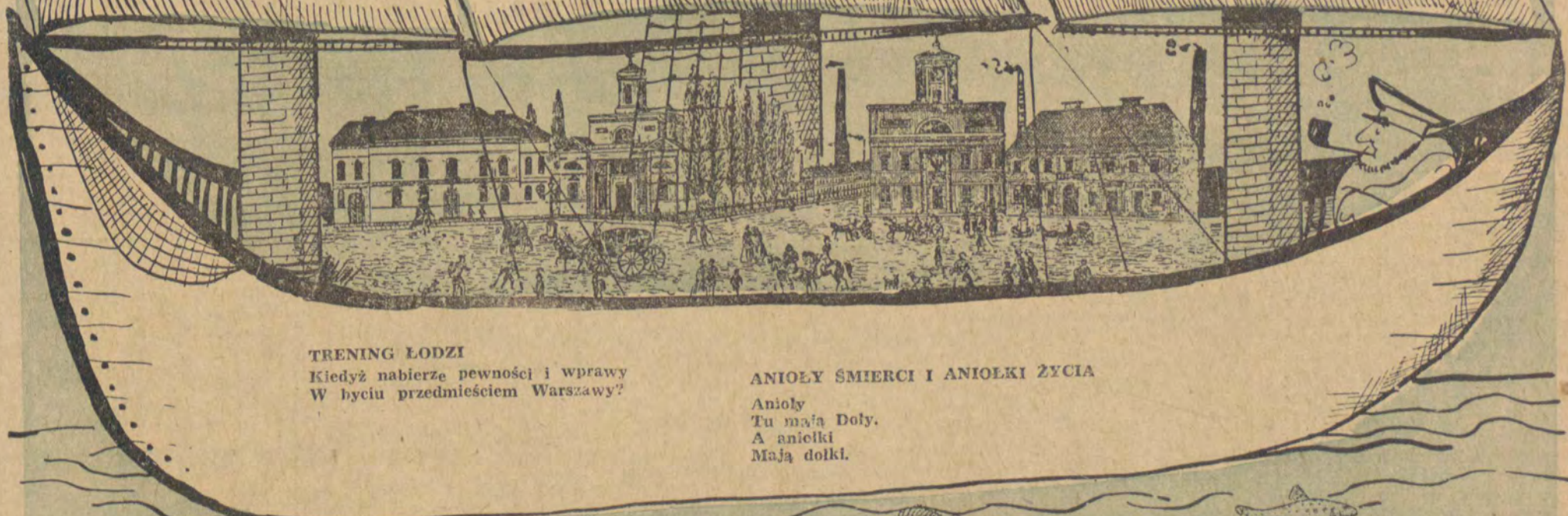
O OGRÓDZIE BEZ OGRÓDEK
Ogród ma w Łodzi ostatnie słowo,
Gdy cię wywiozą na Ogrodowa.

ŁÓDZKA KOLEJ RZECZY
Najpierw pieręgi w kaldun się chowa
A potem leży u... Pirogowa.

NA PROJEKTY SMAROWANIA
PIOTRKOWSKIEJ
Kryć ciemne zady
W jasne fasady
Oto zasady
Łódzkiej parady.

NA ULICY ZIEŁONEJ
Na ulicy Zielonej jest świetna stolówka
Podwójna tu porcja, choć mniejsza połówka.

Jak długo będziemy czuć
Miłość do Łodzi... i Łódź.



TRENING ŁODZI
Kiedyż nabierze pewności i wprawy
W hyciu przedmieściem Warszawy?

ANIOŁY ŚMIERCI I ANIOŁKI ŻYCIA
Anioły
Tu mają Doly.
A aniołki
Mają dolki.



1895 G. R. KOWSKI

Jestem jednym spośród wielu se-tek mi podobnych. Przypływamy tu codziennie ze wszystkich stron świata. Czasem z portu równie wielkiego jak ten, czasem z małej wyspy na Pacyfiku. Zresztą, prawdę mówiąc mało kogo interesuje skąd przybywamy. Ważne, że jesteśmy, mamy trochę wolnego czasu i trochę dolarów, które na pewno tu wydamy.

Dla tych co pływali po morzach, dla tych co dobrze znają geograficę gospodarczą wystarczy jedno tylko słowo ROTTERDAM. Nie wiele takich miast na świecie. Miesięcznie przypływa tu ponad siedem tysięcy statków. Węzłownie? Tak! Nie ma pomyłki. Jeśli przyjdzie, że dziennie przypływa tu około 250 statków nie będziemy zbyt daleko prawdy.

My przypływamy tymi właśnie statkami. My to znaczy marynarze całego świata (ci z profesji i ci z potrzeby poznania świata). Ale jesteśmy przecież nie tylko marynarzami-mechanikami, kucharzami, elektrykami i stewardami. Jesteśmy przecież ludźmi mającymi swoje radości, smartwienia, ludźmi, którzy w porcie dostali list — czasem dobry, czasem zły. Dla wielu z nas to miasto jest często pierwszym stałym lądem po wielotygodniowej „kolysance” na morzu, wielkim światłem po długim zamknięciu w statkowym pudle.

Rotterdam jest portem, o którym w statkowej gwarze mówimy „w porządku”. To dobry port. I dla statków i dla ludzi.

NASZA I WASZA CODZIENNOŚĆ

Dla statków ma nowoczesne nadbrzeża i znakomicie działające urządzenia. Elewatory są w stanie przeladować 250 ton zboża na godzinę. Nowoczesne transportery ładują węgiel z szybkością 350 ton na godzinę. Są tu pływające dźwigi unoszące na raz 100-tonowe ładunki, pływające doki, stocznie, które o każdej porze dnia i nocy gotowe są podjąć się najbardziej skomplikowanych napraw i remontów. Płatanina 116 nadbrzeży zabudowanych magazynami, biurami firm szypingowych, biurami celnymi — rozbrzmiewa dzień i noc wielojęzycznym gwarem rozmów, okrzyków i jazgotem wyteżonej pracy. To miasto w mieście. Atrakcja dla turystów i laików. Ale my jeśli mamy trochę wolnego czasu uciekamy do miasta, w jakim Wy życie codziennie. Dla nas to zwykłe miasto jest największą atrakcją. Port, morze, statek — to jest nasza codzienność. Miasto wraz z tysiącem pokus — to odpoczynek.

Są wśród nas ludzie starsi, poważni. Ci nie szukają „wielkich wrażeń”, mają je już z sobą i stacecznie pójść na kufel piwa, do kina na jakąś zabawną komedię. Ale tych jest mniej. Większość szuka wesołej zabawy, zapomnienia, wódki, dziewczyny. Miasto wie o tym. Miasto? To oczywiście przenośnia. Ludzie interesu...

Jedni handlują żelazem, węglem, ropą, chemikaliami, zbożem. Im służą nasze statki. Dlaczego właśnie w Rotterdamu uczynili bastion swej potęgi? Spójrzcie na mapę a wszystko stanie się jasne. Rotterdam, położony nad rzeką Mozą połączony jest kanałami śródlądowymi z innymi miastami Holandii i Niemcami. Pozwała na wodny transport wyładowanych tu towarów do Alzacji, Szwajcarii i Zagłębia Ruhry. Większość ładunku, jaki przywożą tu statki z całego świata, płynie tranzytem dalej.

Ale ludzie interesu i nam ofiarowują swe usługi. Kiedy opuszczamy bramę portu różnorodnie napisy zawiadamiają nas że „miasto wita serdecznie miłych gości”. Nie jesteśmy na tyle naiwni, aby nie wiedzieć, że chodzi po prostu o forszę którą tu zostawimy. Uważamy jednak, że interes jest uczelwy. Uczynimy to bowiem — no, może nie tyle z własnej ochoty co z potrzeby... Uprzejmość jest jednak uprzejmością i należy ją cenić, tym bardziej że nie każdego witają tu tak serdecznie. Już zaraz po wyjściu z portu na wielu domach odczytać można kiepsko zarte napisy „Speidel go home”, „Speidel nach Hause”. Nas jednak, jak powiedziałem miasto wita serdecznie tysiącem kolorowych neonów, plakatów, reklam zaprasza do zabawy i rozrywki. Wachlarz propozycji jest szeroki...

NOWOCZESNOŚĆ

„Tylko nasze biuro zapewni Ci przyjemne zwiedzenie miasta — zgłoś się do naszego kantoru...” — głosi reklama. Jest w Rotterdamie co oglądać. W 1940 roku zaraz po wkroczeniu Niemców Anglii dokonali na Rotterdam ogromnego nalotu. Zniszczeniu uległa prawie połowa miasta. Fama głosi, że Anglii pomylili się... Nalot miał być dokonany, na któreś z miast niemieckich... Pełen szacownych zabytków, misternie przez starych mistrzów ozdabianych kamieniczek Rotterdam przestał istnieć. Dzieła dopełniły zresztą naloty dokonane przez Anglików w 1943 roku.

Dowcipni Holendrzy z przekąsem powiadają, że Anglikom zawdzięczają powstanie jedynego nowoczesnego miasta w Holandii. Budowa miasta ciągle jeszcze trwa i nie zanosi się na szybkie zakończenie. Zrezygnowano jednak z rekonstrukcji większości starych zabytków. Powstają szerokie proste ulice zabudowane nowoczesnymi, ze szkła, cegły i betonu domami. Budynki mają duże okna, wiele balkonów, a piękne pastelowe kolory tynków znakomicie harmonizują z zielenią, na którą na ogół nie poskąpiono miejsca. Nieliczne ocalałe zabytki — piękny gotycki kościół z piętnastego wieku, osiemnastowieczna giełda i pomnik Erazma jeszcze bardziej podkreślają

wentualności nie przewiduje się. Rotterdam jest przecież pierwszym portem, w Europie, który będzie mógł przyjmować wielkie super-okrety o nośności 100 tysięcy ton. Budowa gigantycznego Europortu szybko postępuje naprzód. A więc Katendrecht prosperuje znakomicie z najlepszymi perspektywami na przyszłość. Jest ulicą podobną wielu innym w wielkich portach świata. Marynarze wymieniają Wam takich wiele-Reperbahn w Hamburgu, „Ulicę Spódnicek” w Londynie, Nakayamate-dori-ikuta-ku w Kobe, Wakaba Cho nakaku w Bangkoku...

„RADOSNA TANDETA”

Na Katendrecht stoją tablice zawiadamiające, że dzieciom wstęp wzbroniony. Nie przychodzi tu także „zwykli” mieszkańcy miasta. Klientela niewielkich kiepsko oświetlonych barów składa się głównie z marynarzy, żądnych wrażeń, turystów, czasem znudzonych dam, które zaglądają tu w towarzystwie dostojnych panów i szybko umykają. Katendrecht nie ma w sobie nic z portowych dzielnic, jakie zobaczyć można w kolorowych wesołych filmach.

Życie bez zasłon pokazuje swe wilcze, brutalne prawa. Pani, która siedzi przy barze pokazując swe niezbyt ładne nogi może napić się z Wami „Bolsa” jeśli otrzyma za



„W porządku”... dla statków i ludzi... (II)

śmiałość i nowość koncepcji architektonicznej miasta. Na ulicach spotkać można grupki zacięte dyskutujących ludzi. Dużo bowiem sporów i kontrowersji budzi nowoczesna rzeźba, której nie brak w Rotterdamie na ulicach i w gmachach publicznych.

KATENDREHT

Pędzące neony i hałaśliwa reklama zajmują się jednak głównie reklamą innych atrakcji. Operetka, kino, setki barów z występami „prettiest girls in town”, lokale te zawiadamiają, że tylko tam będzie... „Like homely atmosphere”.

Katendrecht się nie reklamuje. Katendrecht nie potrzebuje reklamy. Katendrecht znają wszyscy marynarze. Przysłówie mówi, że Katendrecht przestanie istnieć, gdy do Rotterdamu wpłynie ostatni statek. Na razie jednak takiej e-

to dwa dolary, stojącą przed knajpką blondynkę kupi jakiś pijany marynarz na dziesięć-piętnaście dolarów. Panie z Katendrecht nie mają przesadów, to też b. chętnie korzystają z ich usług marynarze kolorowi. Wzmocnione patrole policyjne bacznie obserwujące przechodniów nie zawsze jednak zdołają zapobiec zdarzającym się wypadkom pchnięcia nożem, bójkom...

Tandeta to radość i zabawa wśród ludzi, którzy wyszli nie dawno z więzienia, którzy się stoczyli, którym się nie powiodło.

W tych okolicach Rotterdam nie jest już nowoczesnym miastem. Nie jest też piękny, zabytkowy. Tu uliczki są wąskie, ciemne, smrodliwe. Domy cherlawe, wilgotne, tynki obdrapanie. Można tu kupić pornograficzne zdjęcia, zagrać z przygodami partnerami w „oko” lub pokera... W małych, brud-



Nowoczesność czy niezrozumiałość? Nowoczesna architektura budzi ogólny aplauz. Nowoczesna rzeźba — kontrowersje

Zdjęcia autora

nych hotelikach nie robią zbędnych ceregieli z meldowaniem... ale cena noclegu często nie ustępuje cenie luksusowego hotelu. Brak ciekawości bywa cnotą, którą trzeba opłacać...

„POLONICA”

Właściwie długo zastanawiałem się czy opowiedzieć Wam tę historię. Jest żenująco schematyczna i naiwnie dydaktyczna. Ma tylko jedną zaletę. Jest prawdziwa jak tylko prawdziwe być potrafią przypadki i dziwne zbiegi okoliczności. Reporter nie lubi schematów ale życie nie zawsze ma ochotę zaspokajać gusty reportera...

Siedziałem więc w jednym z owych barów na Katendrecht i miałem właściwie już tego dość, gdy usłyszałem cienkim kobiecym głosem wypowiedziane jedno tylko polskie słowo „dureń”. Obeształem się. Obok siedziała młoda dziewczyna i odpychała mocno już „zalanego” arabskiego marynarza.

Z Polski?

Wahała się dłuższą chwilę. Potem wysłuchałem historii...

— Była w Polsce ekspedientką. Zdefraudowała trochę pieniędzy i pojechała z wycieczką „Sport-Turistu” na Zachód. Dolary, które zakupiła w kraju za zdefraudowane pieniądze, starczyły na krótko. Pewien zagraniczny handlowiec, którego poznała jeszcze w kraju w knajpie „Orbisu” nie bardzo

miał ochotę spełniać obietnice, którymi gdy bawił w Polsce hojnie wobec niej szafował. Dalszy ciąg?... Katendrecht... Chciałaby wrócić do kraju, ale boi się więzienia a zresztą jak to załatwić? Podobno na Katendrecht są jeszcze dwie Polki...

80 I 11 MILIONÓW

Powrót do śródmieścia — gwarne, luksusowego, pełnego pięknych wystaw, pozwala otrząsnąć się z „silnych” wrażeń na Katendrecht. Nad wielkimi budynkami towarzystw handlowych neony mówią coś o Celebesie, Jawie, Borneo...

Widać mapy polityczne świata zmieniają się szybciej niż neony... A jednak pobudzają one do refleksji o kraju liczącym niespełna jedenaście milionów ludności, na który przez lata pracował 80-milionowy naród obfitujący w bogactwa naturalne Indonezji... A narody innych holenderskich kolonii...

Marynarze uczą się geografii gospodarczej i politycznej w każdym rejsie i nawet ci nie rozpolitykowani mają wiele o tych sprawach do powiedzenia... Nasza trasa prowadzi także przez Indonezję. Będzie więc doprawdy pouczające spojrzeć na „piękną Holandię”, kraj tulipanów i kraj ludzi, których na świecie nazywa się najokrótniejszymi kolonizatorami z tamtych stron, przez pryzmat tamtych problemów...

Na razie do Indonezji jeszcze bardzo daleko. Przed nami Francja. Kurs na Dunkierkę...



Budownictwo mieszkaniowe i pawilony handlowe w Rotterdamie

Dokończenie
„PUSTYNNYCH
SZCZURÓW”
w następnym
numerze



Minister Oświaty Władysław Bieńkowski na Zlocie

Z L O T

Dokończenie ze strony 1

manifestacji 1-majowej. Która organizacja może poszczycić się zdobyciem dla siebie tylu młodych ludzi w ciągu trzech lat działalności? Jest to niewątpliwy dowód zwycięstwa harcerskiej metody wychowawczej, harcerskiego sposobu życia. Jeszcze jedno. Widać, że jednak, wbrew czarnowidzom, idee dobra, prawości, szlachetności, uczciwości, rycerskości i tym podobnych najpiękniejszych cech ludzkich nie są naszej młodzieży obce, skoro oboma rękami podpisuje się pod nimi wstępując do harcerstwa. Znajdziesz się w harcerskim obozie i momentalnie wpadasz w jakiś dziwny nastrój radosnego podniecenia, zarazi cię bezpośrednio. Do ministra, zamiast obywatelu, panie czy towarzyszu mówisz: druhu ministrze... A zresztą co za różnica! Ministrowie i generałowie biegają tu razem z harcerzami po walach nad rzeką, stoją w kolejce po łoda za 3 złote, skrobą łyżką dna przepastnych menażek.

Perli się złościły jak słońce humor, przepadł gdzieś służbowy dystans. Wszystkim jest dobrze...

Więc mowa o atmosferze... Po latach w których szczerłość ludzka była zakopana gdzieś głęboko i przyściśnięta kamieniem ponurego milczenia, należy wysoko cenić to wszystko, co harcerstwo wnosi znów do naszego życia.

★

Nad namiotami sieradzkiego złotu dominuje wielki krzyż harcerski, a obok niego po rusztowaniu z rur pędzi w niebo smukła czerwona strzala. Więc symbol. Symbol nowoczesności harcerstwa, który mówi że to wszystko co w naszym życiu nowe, postępowe, dobre — nie jest mu obce. Wielkim głosem krzyczy ta dekoracja: będziemy popularizować zdobycze techniki dlatego, że to nas obchodzi! Radio, telewizja, podróże kosmiczne, okręty podwodne, stopy atomowe, nowoczesna medycyna... Wyżej! Wyżej! Wyżej! Harcerstwo trzyma rękę na pulsie życia. Odpowiada na wszystkie pytania cisnące się do głów młodych ludzi. Harcerstwo, to zresztą oni sami i ich starsi koledzy. Prześledźcie proszę kto zaczął ci ostatni. To inżynierowie, profesorowie wyższych uczelni, asystenci, nauczyciele, pracownicy radia, filmu, telewizji, fabryk włókienniczych, kolejarze, strażacy, robotnicy. Oni żyli się z harcerstwem i bezinteresownie w nim pracują, poświęcają swój cenny czas wychowaniu młodego pokolenia. Czy to nie nieknie?!

★

Rozmawiam z podharcemistrzem Bronisławem Weisławskim. Proszę by w kilku słowach opowiedział o celu złotu sieradzkiego. Oto co mówi:

Po pierwsze: celem złotu jest podsumowanie dwuletniej pracy Chorągwi Ziemi Łódzkiej i szeregu akcji podejmowanych w tym czasie. Jakże to były akcje? Budujemy w Wienczyniu Górnym szkołę harcerską. Pieniądze na ten cel (1.600 tys. zł) zbieramy „własnym przemysłem”. Jedną z drużyn hoduje np. króliki, co daje rocznie 40 tys. zł dochodu. Pieniądzy mamy sporo. Ale jak zdobyć więcej? Poradzimy nad tym.

Sumuje się też wyniki akcji „Ojczyźnie miłej służ”. Tu dokonamy przeglądu najlepszych harcerskich zespołów artystycznych wyłonionych na eliminacjach wojewódzkich w Łodzi. We wszystkich etapach tego przeglądu wzięło udział 6 tys. harcerzy.

Po drugie: zlot jest generalną próbą przed wyjazdem na obczyt letnie. Już w tej chwili widać, że próba wypadnie świetnie.

Akcja letnia obejmuje 6 tys. harcerzy z miast położonych na terenie woj. łódzkiego. Jedziemy na teren „zabite deskami”, bo na Ziemi Lubuskiej. Harcerz nie może spać spokojnie, gdy są do wykonania jakiejś prace. A tu chodzi o to by zdobyć dla kraju serca miejscowej ludności, autochtonów, związać jeszcze bardziej tę ziemię z matczyną. Chcemy np. odwiedzić wszystkich autochtonów rencistów i sprawdzić czy nie dzieje się im krzywda...

A więc nie głośno, nie wykrzykiwanie szczytnych, mądrych politycznie słusznych haseł, a przenoszenie ich od razu w sferę praktyki. Tylko praktyka bowiem jest czymś sprawdzalnym w rzeczywistości. Tylko ona się liczy.

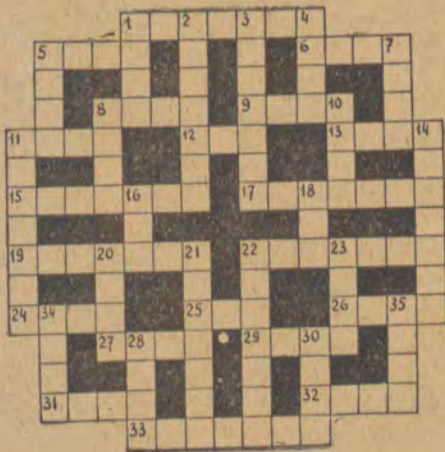
Tekst i foto: W. Machejko.



odgłosy str. 5

Nasza

Krzyżówka



Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 1) Drzewo liściaste, 5) Pora roku, 6) Planeta, 8) Kontuar, 9) Przegub, 11) Skala podwodna, 12) As, 13) Państwo w Azji, 15) Niewiasta, 17) Imię żeńskie, 19) Brak poczucia umiaru, 22) Przedsiębiorstwo państwowe zajmujące się biciem monety oraz przedmiotów zaopatrzonych w godło państwowe, jak pieczęcie, medale, ordery itd., 24) Olejek różany, 25) Miara powierzchni, 26) Przynię, natrysk, 27) Przełożony, 29) Jednostka długości, 31) Jachtospis, 32) Zawody motocyklowe lub samochodowe, 33) Nazwa rozrywki umysłowej.

Pionowo — 1) Przecinek, 2) Drobnokrajane jarzyny, mięso, ryba, zaprawione śmietaną lub ostrym sosem, 3) Masło, słonina, oliwa itp., 4) Spleen, 5) Szkle powiększające, 7) Imię żeńskie, 8) Wawrzyn, 10) Przewinięcie, 11) Państwo europejskie, 14) Handlarz, 15) Owad, 18) Przyjaciel Mickiewicza, 20) Tulów posagu, 21) Sklepo tytoniowe, 22) Morze między Morzem Czarnym, a

Egejskim, 23) Pismo dyplomatyczne, 28) Grecki odpowiednik Jowisza, 30) Instrument muzyczny lub gwiazdozbiór północnej półkuli nieba z jasną gwiazdą Wega, 34) Przyrząd gimnastyczny, 35) Zapach spalony.

Termin nadsyłania rozwiązań — dwa tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 18

Poziomo — plastik, makaron, mamiłko, laktoza, zastawa, Asnyk, chaber, rutyna, Amado, kanion, parkan, imago, szpaler, alkazar, zawraca, retorta, Tatarka.

Pionowo — padalec, Antek, tempo, kompas, meduzy, klopa, rupia, Niagara, tablica, zaranie, akropol, tatarka, kaszmir, narzoza, mrówka, galant, plant, lazur, kwant, zefir.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. WŁADYSŁAW WANDALSKI, Poddebice, plac Kościuszki 17-a;

2. JANUSZ PATALONG, Łódź, ul. Roosevelta 17 „Ruch”



Drzwi do budynku magazynowego są zbyt wąskie i mają być poszerzone... o długość wskazującej ręki

KATAKUMBY ZAKRZEPEŁEJ MĄDROŚCI

(Dalszy ciąg ze str. 1)

wiera już około pół miliona tomów). Czytelnie obliczone są na około 600 miejsc, w tym specjalne pokoiki dla odczytywania mikrofilmów i fotokopii, pokoje dla pracowników naukowych, czytelnia humanistyczna, przyrodnicza i czasopiśm oraz sala muzyczna itp.

Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego składa się z budynku magazynowego, gmachu głównego i czytelnicy czasopiśm. Budynek magazynowy jest już czynny a czytelnia czasopiśm w niedługim czasie również zostanie oddana do użytku. Wykonawcą jest Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, a kierownikiem budowy inż. Wacław Danielewicz. Budynek Biblioteki jako pierwszy w Polsce zbudowany został całkowicie metodą prefabrykacji.

Tyle dowiedział się dziennikarz.

A OTO CO ZOBACZYŁ NA MIEJSCU

Drzwi do budynku magazynowego są zbyt wąskie i mają być poszerzone. W tym celu trzeba będzie skruszyć kawał grubego muru. Windy małe używane, już się psują, a poza tym w ogóle nie nadają się do przewozu książek, gdyż nie zostały przystosowane do wielkości wózków, którymi rozwzi się je po dziesięciopiętrowym gmachu. Schody są za wąskie i wykonane zostały tandetnie. Na klatkach schodowych pekają już posadzki. Zapomniano o ubikacjach i umywalkach, i obecnie przekuwa się dziesięć pięter, zakładając nowe instalacje we wnękach, a wszystko wykonuje się niestarannie — drzwi się nie domykają,



Nowoczesny dźwąg do wyciągania żużla z kotłowni

nym użyciu zepsuł się i palące przez całą zimę musieliby wyciągać żużel ręcznie. Garaże, które są w budowie, nie posiadają kanałów kontrolnych. W czytelnicy czasopiśm rury centralnego ogrzewania zainstalowano zbyt blisko regałów. Od grudnia ub. roku nie ma kto podjąć decyzji o przesunięciu ich bliżej ścian. Dopóki się tego nie wykona, magazyn czasopiśm będzie nieczystym.

Otwarta pozostaje również kwestia oświetlenia czytelnicy czasopiśm. Zakłada się tam światła jarzeniowe, które nie tylko drga i brzęczy nie pozwalając na odpowiednie skupienie się, ale jest szkodliwe dla zdrowia. Sama lokalizacja czytelnicy frontem do ulicy Narutowicza budzi też zastrzeżenia. Ojcowie miasta swego czasu przyrzekli, że na tym odcinku toru otrzymają podkłady tłumiące częściowo zgrzyt przejeżdżających tramwajów. Obecnie zmienia się tam właśnie szyny, jednak robotnicy zakładają zwykłe podkłady.

Czyżby ojcowie miasta nie mogli dotrzymać przyrzeczenia?

Wymienione niedociągnięcia rzucają się w oczy nawet człowiekowi nie związanemu z pracą w budownictwie. Poza nimi istnieje cały szereg błędów i braków natury funkcjonalnej budynku, na które uskarżają się pracownicy magazynu. I tak: brak jest specjalnego pomieszczenia na biuro magazynowe (sortownicę), brak pomieszczenia do oporzadzania druków (wyklejanie, stempowanie itp.), brak lokalu dla przeprowadzania inwentaryzacji. Biuro katalogowe umieszczone zostało za daleko od oddziału nabytków, a całe pomieszczenie jest zbyt ciemne jak na żmudne prace katalogowe. Regały zarówno od strony samego projektu, jak i wykonawstwa pozostawiają wiele do życzenia. Kasety do katalogów zrobione zostały skandalicznie i na nowo się przerażają.

Na zakończenie tego trochę przydługiego wyliczania dodam, że kolor i faktura zewnętrzna gmachu zostały nieodpowiednio dobrane, a na skutek braku „kapinosków” pod oknami głównego budynku zacieki tworzą na ścianach ciemne pasma, potęgając — i tak już dostateczną pod względem architektonicznym — brzydotę budowl.

Budowa Biblioteki Uniw. jest żywym przykładem na szeroka skalę pojętego brakoróbstwa, niedbalstwa, niechlujstwa, braku odpowiedzialności, lekceważenia i marnowania grosza publicznego. To już nie niepokoi, ale przeraża.

Zdolni architekci, energiczni kierownicy robót, wykwalifikowana kadra robotnicza — a w sumie kłepska budowla. To już pachnie metafizyka. Architekt wytłumaczy swe błędy normami, które ustanowili dla niego znów inni architekci. Kierownik budowy musi się starać o to, ażeby ludzie dobrze zarobili, gdyż w przeciwnym razie na budowle o wypadku nie trudno. Wykonawca zwała winę na podwykonawców, a ci z kolei na swoich podpodwykonawców, tamci mają żal do dostawców — producentów, producent kłna na dostawców surowca itd. Istna kwadratura koła. Winni są wszyscy — a to znaczy nikt. To nie gra słów, ale tak jest naprawdę.

W innych krajach okres przygotowawczy do budowy trwa długo, natomiast sam proces budowy trwa krótko. U nas bywa i tak, że najpierw się buduje, a dopiero później rewiduje projekty, robi korektury, synchronizuje organizację budowy itp. Ogarnia mnie lęk i podziw dla ludzi. Potrafiliby napisać tyle mądrych książek, a nie umieją zbudować dla nich odpowiedniego pomieszczenia.

KAROL BADZIAK

Zdjęcia: Z. WALTER



Zakrzepło mądrość...

JAN KOPROWSKI

*
*
*
Kiedy z długiej podróży wracam do ciebie nad ranem i staję na progu izby zmarznięty na sopeł, na kość — wychodzisz mi naprzeciw ze snu jak z głębi zasy i ja cię witam i nie wiem czy sen to jeszcze — czy jawa.

Jesteś gorąca jak chleb, snu pełna — jak muszla szumu Policzki twoje pełna i oczy błyszczą wilgotne. Maleje czas co nas dzielił, rzędna rozłąki tygodnie, rzeka czekania wysycha i z brzegiem łączy się brzeg.



TOAST

Poważna jest chwila dziejowa — więc wychylimy ten kielich wina. Już nie szumi zielona dąbrowa, już się era atomowa zaczyna.

Pijmy, bracia, wino z kielichów, człowiek — panem nieba i ziemi i westchnijmy sobie po cichu o tym wieku zielonej zieleni.

O tym wieku długich epistoł i romansów pani Orzeszkowej. Jeśli zbraknie wina — to czystą zakropimy czasy atomowe.

Pijmy, bracia, za nauki wszystkie póki ziemi sądzony pokój. Już się ręce chwiewają jak 11stki i iza w mętym kryje się oku.

A gdy trunków spijemy dużo — w naszym mieście jak wiersz elegijny poszukamy Cyganek, co wróżą i kupimy los loteryjny.

Luty 1959.



Wrażenie jest imponujące...

SENSACJA z MORALEM

o siódmej piętnaście

Teresa Kałuda i Kamiński

Alina Kulikówna, Teresa Kałuda i Kamiński



Gian Paolo Callegari, Włoch oczywiście, autor sztuki „Dziewczeta z fotografią” (polska prapremiera w Teatrze 7.15) — to dramatyzm z prawdziwego zdarzenia. Temat, który on sobie wybrał jest tylko na pozór łatwy. Niby cóż łatwiejszego niż losy call-girls dziewcząt na zawołanie, czyli po polsku tajnych prostytutek?

Samograj? Bynajmniej! W dwudziestych latach każdy szanujący swoją kasę teatr w Paryżu, Wiedniu, Berlinie, czy innej Sodomie 'ib Gomorze szukał, znajdował i grał takie sztuki. Ale kto je dziś zna? Przemięły z inflacją. Trzydzieści razy en suite i gotowe.

„Dziewczeta z fotografią” nie są sztuką jednego sezonu. Od wspomnianych wyżej i już zapomnianych autorów różni Callegari przede wszystkim jego umiejętność scenariusza. Kto jeszcze użył w sztukach, napisanych nam ostatnio, taką znikomą ilość kwestii „opisowych”, by tak trafnie określić charaktery i środowisko, ba — społeczność? W której z tych sztuk przeobrażono perfectum, to, co się kiedyś działo — tak sprytnie w presens, w to, co się właśnie dzieje?

Owszem, działo się nie byle co: mord, którego ofiarą padła Wilma Montesi. Przez półtora roku pisały o tym wszystkie bez wyjątku

gazety na świecie. Ta przeszłość w sensie czasu scenicznego określa bez naciągania widza ekspozycję, dyktuje powikłania i narzuca rozwiązanie. Ekspozycja jest obyczajowa, powikłania są sensacyjno-kryminalne, a rozwiązanie... moralne.

Tym razem góruje na scenie młodzież: Teresa Kałuda (Marcella) tegoroczna absolwentka łódzkiej szkoły teatralnej, aktorka o wielkim temperamencie przy zdumiewającym opanowaniu roli. (Oby jej ten sukces nie zaszkodził!) Druga call-girls, Alina Kulikówna stworzyła dobry kontrast swej scenicznego przyjaciółki. Jest i taki gagatek: według zamiaru autora niesympatyczny

młodzieniec z próżną głową i pełną kleszenia „ubaw” na granicy przestępstwa. Najtrudniejsza chyba postać, ale pewnie i płynnie odtworzona przez Mariusza Górczyńskiego. Dwie role — rajfury (Julia Kossowska) oraz przemysłowca Gino, klienta domu schadzek, (St. M. Kamiński) obsadzono, według mnie, fałszywie — chociaż doskonałymi aktorami.

Powiedziano: młodzież góruje. Ale nie nad Jadwigą Andrzejką. Jej pani Mariotti, matka zamordowanej, należy do najsilniejszych pozycji aktorskich spektaklu. Lechosław Litwiński w epizodzie — tym razem znakomity. Za wielką omyłkę

uważam obsadzenie roli stuzżającej (Zofia Wilczyńska). Aktorka daje istny pokaz gry (estradowej) i zbiera oklaski. Świetnie zrobiona rola, ale nie z tej sztuki. Włodzimierz Kwaskowski jako ojciec upadłego dziewczęcia jest na swój sposób tym, czym mu autor być każe, nijakim.

Reżyser spektaklu, Roman Sykała, stanął przed dwojaką trudnością; ale ominął zarówno niebezpieczeństwo inescenizacyjnej wulgaryzacji; tematu jak i niebezpieczeństwo degradacji niektórych partii sztuki do widowiska dla amatorów strip-teasu. A pokusa nie lada, bo przecież mamy sprawę z dziewczętami

mi w domu schadzek. Reżyser i scenograf (Marian Stańczyk) wykazali przy tym trudnym zadaniu wielkie wycucie niedostrzegalnej granicy między publicznością a publicznością — mimo, iż II akt dzieje się w domu publicznym. Reżyserowi chodziło bowiem o to samo, co autorowi: o atrakcyjną socjologię tajnej prostytutki, o głębię społeczną, która wydała call-girls i kryminalną złotą młodzież szastającą złotem.

Splot przypadków, zwany repertuarem, natrafił na kasową i nie tylko z tego punktu widzenia interesującą pozycję.

Od Gauguina do naszych czasów

* Dokończenie z poprzedniego numeru *

pod redakcją HENRYKA ANDERSA

PALETA



Nadrealizm prezentuje się na wystawie słabiej — w ramach kierunku mieścił się bez reszty tylko jedno płótno: „Powrót płomienia” — Maksa Ernsta. Monstrualne, odpychające malowidło po raz setny potwierdza tezę, że nadmiar filozofowania raczej szkodzi sztuce niż pomaga. Autor wyraźnie nie dba o walory plastyczne — być może zupełnie innymi środkami jeszcze łatwiej wprowadziłby widza w świat halucynacji czy fantasmagorii. A o to mu przecież chodzi.

Ze względu na koncepcję oraz typ fantazji na granicy nadrealizmu stoją Survage oraz Chagall. Pierwszy dał obraz bardzo piękny, umiarkowany w efektach, logiczny w kompozycji, mocny w kolorze. Widać, że autor przeszedł twardą, ale pożyteczną dyscyplinę kubizmu, świadczy o tym rygor, świadczy zresztą pewna charakterystyczna stylizacja. Obraz Chagalla „Akrobatka” nie należy, niestety, do najmocniejszych prac tego uroczego malarza i nie najlepiej przedstawia go naszej publiczności.

Wystawa podzielona została jakby na dwie części. Jeżeli rozwiązanie takie poddyktowane zostało układem, nie byłoby chyba względem jedynym. Wszystko, co znajduje się w części pierwszej

— pomimo założeń nieraz najbardziej arbitralnych — jest w jakimś stopniu odbiciem otaczającego nas świata, jest więc realizacją pewnych idei odtworzonych. W części drugiej zamieszczone są prace podporządkowane tendencji kreacjonistycznej — zamiast naśladowania natury mamy próbę tworzenia, formowania nowej, samodzielnie istniejącej rzeczywistości, obraz — nawet jeśli coś przedstawia — jest światem samym dla siebie.

Pokazane są tutaj kubizm i jego pochodne oraz malarstwo abstrakcyjne. Na wstępie zawód czeka tych, którzy spodziewali się, że na wystawie — właśnie sztuki francuskiej — prześledzą poszczególne etapy rozwoju nowoczesnego malarstwa. Nic z tego.

Kubizm, który do sztuki nowoczesnej wniósł pierwszy wiastek intelektualny, potraktowany został z dziwną nonszalancją. Pokazano nam parę dzieł z późniejszego okresu zwanego „kubizmem płaskim” pominięto fazy dojrzewania kierunku, jak również jego końcowe odkrycia. Kilka płócien jest naprawdę ładnych; zmuszają do zatrzymania się piękne obrazy Severiniego, Braqua, Marcousisa. Większość jednak rozczarowuje — przede wszystkim Picasso. Już dużo ciekawsze są jego talerze wystawione w bocznej sali i stanowiące własność Muzeum Narodowego. Ciekawi są również spadkobiercy kierunku, artyści, którzy wykorzystali „wielki eksper-

ment” dla przestylizowania swej realistycznej twórczości. Tacy bowiem artyści jak Delaunay czy Villon, przedstawiciele grup od kubizmu pochodnych — „orfizmu”, „purizmu”, „złotego podziału” — wypadli po prostu źle, pokazano chyba ich najslabsze prace.

Znacznie lepiej wypadli abstrakcyjniści, zwłaszcza odłam, który we Francji nazywa się ogólnie „informel” — bezprzedmiotowy, bezkształtny — w Polsce, popularnie choć błędnie zwany „taszysmem”. Trochę słabsza, bo zdekompletowana, jest grupa abstrakcjonistów geometrycznych. I tu jednak mamy wiele pięknych prac.

Jedno zwraca uwagę — doskonale wycucie koloru. W porównaniu z artystami polskimi Francuzi wykazują większe zdecydowanie w kontrastach, więcej subtelności w malarstwie tonalnym. Prawda, że są to obrazy wyselekcjonowane, ale nawet najsłabszym z pokazanych nie można zarzucić tak częstą u nas niechlujności.

Jeśli więc wystawa rozczarowuje jako przekrój rozwoju sztuki dwudziestego wieku, warto ją obejrzeć, żeby zobaczyć dużo dobrego malarstwa. Radęcią dla oczu jest na pewno.

Leopold Survage,
Młoda dziewczyna z liściem

odgłosy str. 7

„Musiałem przekonać samego siebie, że jeszcze jestem coś wart“

Ukochany księżniczki, odrzucony adorator — śmieszne, kto dziś używa takich romantycznych frazesów? Ale jak uniknąć naiwnego patosu, kiedy mowa o człowieku, który sławę i pozycję społeczną filmowego gwiazdora uzyskał dzięki perypetiom miłosnym godnym kiepskiego roman-

su? Odrzucony, z zachowaniem wszelkich względów, ale przecież odrzucony publicznie, amant jest zawsze figurą trochę komiczną. Rozumując normalnie powinniśmy wystrzegać się nemiłego rozgłosu, ukryć się, przeczekać, zejść z oczu dziennikarzom.

Pułkownik Townsend po oficjalnym rozstaniu z księżniczką Małgorzatą, wyruszył w podróż dookoła świata. Postępek był raczej niezwykły, w tej sytuacji mógł się wydawać nawet ryzykowny, nie budził jednak zgorzelenia. Nawet wśród kawiarnianych plotkarek snobizujących się życiem „wyższych sfer“.

Kiedy jednak londyński wydawca Barrymaine ogłosił, że publikuje „Pamiętniki Townsenda“, kiedy sam bohater — osiedliwszy się po powrocie z podróży w Paryżu — oddał do druku książkę i przystąpił do montowania filmu, który nakręcił w drodze, zawrzał.

Kim wreszcie jest ów Townsend? Bezwstydny awanturnikiem w typie słynnego Casanovy, poszukiwaczem przygód, karierowiczem, wielkoświatowym afe-rzystą, łapigroszem? A może człowiekiem zagubionym, prostodusznym aż do naiwności, ciężko doświadczonym przez życie, cierpiącym bez winy, ofiarą której należy współczuć i którą trzeba zrehabilitować?

Kiedy Małgorzata złożyła oficjalną wizytę w Paryżu, Townsend wyjechał do Brukseli. To jeszcze bardziej rozjątrzyło opinię. Przyglądano mu się bacznie, wszyscy go teraz znali.

Wysoki, smukły, zgrabny, zawsze zamyślony jakby trochę nieobecny, nie wyglądał ani na swoje czterdzieści pięć lat, ani na bohatera niezwyklej historii. Nikt nie zastanawiał się, że człowiek ten w czasie wojny był asem wśród pilotów królewskiego lotnictwa, że jest więc kimś niezależnie od swoich wątpliwych sukcesów zdobywcy sery. Ze wreszcie trzeba wiele siły woli, by odbyć samotnie podróż samochodem: w jednym rzucie 50 tysięcy kilometrów przez góry, pustynie i bezdroża.

— Dżungla, prerie, piaski pustyni — zwierzył się dziennikarce paryskiej, której udało się zdobyć wywiad — przedłużający się pobyt wśród koczowników, czy wciąż jeszcze dziłkich ple-

mion murzyńskich nie dały mi się tak we znaki jak pojedynki z drogą, nie kończąca się, monotonna, prawie nienawistna. Jest w książce wiele dłużyzn, myślę, że dobrze oddałem nastrój nocej jazdy, samotności w świetle gwiazd. Niech czytelnik także się trochę pomęczą.

— Barrymaine wydaje bezprawnie książkę, która nie jest moim pamiętnikiem. Był to mój dobry znajomy, rozgłaszał, że jest moim przyjacielem, wiedział bardzo wiele, nie tylko ode mnie. Wytoczyłem mu proces.

— Moja książka... Tak, napisałem ją sam. Cóż z tego, że nie jestem pisarzem — widziałem, doświadczyłem, to co piszę jest autentyczne, a więc chyba interesujące.

— Nie, nie dostałem zamówienia od żadnego z czasopism. Pomimo trudności finansowych wybrałem się w podróż na własne ryzyko. Musiałem. Zbyt wiele wycierpiałem siedząc w domu, nie ośmielając się wytknąć nosa. To wbrew mojej naturze, cenę przede wszystkim wolności i dla wolności człowieka żądam szacunku.

— Książkę zatytułowałem — „Moja przyjaciółka, zle-mia“, film ukaże się pod tytułem — „Paszport na świat“. Nic nie mówię o sprawach osobistych, dlatego u Amerykanów nie znalazło to wzięcia. We Francji i Anglii, owszem,

— Czy dlatego udaje mi się wydać moje prace, że nazywam się Townsend, czy któreś z wielkich wydawnictw przyjęło wspomnienia z podróży jakiegoś pana X? Nie wiem, chyba przyjęłyby, gdyby były ciekawe. Chciałbym odwrócić pytanie. Czy mnie nie wolno napisać książki, ani nakręcić filmu, dlatego, że nazywam się Townsend?

— Fama głosi, że zarobiłem na tej „aferze“ grube miliony. Kłamstwo. Owszem, proponowano mi bajątkie honoraria za napisanie pamiętników, do dziś mam wiele ofert. Oczywiście odmawiam. A naprawdę nie jestem zamożny. Moje obecne zarobki nie przekraczają dawnego uposażenia pilota w R.A.F., jak wiadomo nie są to zarobki milionera.

— Nie dla pieniędzy jednak przyjąłem propozycję „Daily Mail“. Zastanawiałem się długo. Pismo jest poważne, dyskretne. Obwarowałem się wszelkimi, możliwymi zastrzeżeniami. Akceptowano je. Nie będzie ani cienia aluzji do rodziny królewskiej.

— To już nie moja wina, że prasa sensacyjna tak rozdmuchała sprawę. Sam byłem zaskoczony oglądając swoją fotografię obok zdjęcia księżniczki, czytając ogromne nagłówki: „Town-

send pragnie przejść do historii“. „Błądny rycerz XX wieku“. Proszę mi wierzyć, odczuwam to najboleśniej. Związka że często nie ma w tym ani słowa prawdy.

— Dlaczego tak się stało? Zastanawiałem się. Myślę, że byłem zbyt uczciwy, głupio uczciwy. Wierzyłem w prawotę ludzką, nie przypuszczałem, że całej historii można nadać posmak skandalu. Narobiłem wiele gupstw. A teraz wszystko mi jedno. Niech piszą, kpię sobie z rozgłosu. Kiedyś się znudzą.

— Dlaczego piszę sam? Mam pewną ideę. Widziałem wiele rzeczy, które — uważam — powinny dotrzeć do wiadomości publicznej. Nie, to nie jest forma rewansu po niepowodzeniach. Taką postawą była mi zawsze obca, nigdy nie próbowałem wywyższać się, nawet w służbie chętnie ustępowałem pierwszemu miejscu. Nie mam ambicji wygrania pu-charu w zawodach.

Słusznie. W podróży szukałem sukcesu. Ale ten sukces był mi potrzebny. Po prostu musiałem przekonać samego siebie, że jeszcze jestem coś wart.

Opracował H. A.



WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Czy agonia powieści?

Od czterech lat toczy się na łamach francuskich czasopism literackich (a mniej więcej, od dwóch lat i u nas w Polsce) wielka dyskusja na temat nowych form powieściowych. Dyskusję zapoczątkowało ukazanie się powieści Nathalie Sarraute, Michel Butora i Alain Robbe — Grilleta, z którymi krytyka francuska wiązała zagadnienia „nowej powieści“.

Jean Paul Sartre w przedmowie do „Portretu nieznanego“ Nathalie Sarraute nazwał ten utwór — antypowieścią. Otąd termin ów — antypowieść — nie schodzi z ust krytyków. Zastępuje się również chętnie nazwę powieści terminem — felieton (dochodząc już pod tym względem do hysterii i przyklejając na przykład, etykietę „felietonu“ świętemu utworowi Aragona „Wielki Tydzień“, który obok elementów nowoczesnego warsztatu pisarskiego posiada wszystkie cechy solidnej powieści historycznej wraz z pogardzaną przez „antypowieściowców“ fabułą z uporządkowaną chronologią zdarzeń). A więc antypowieść czy felieton, co wolicie było tylko nie przestarzałe już określenie — powieść!

1. CO TO JEST „ANTYPOWIEŚĆ“

Znakomity twórca „Czerwonego i czarnego“ i „Pustelni Parmeńskiej“ Stendhal porównał obraz powieściowy do odbicia, jakie otrzymanoby się w lustrze ustawionym na drodze, po której posuwają się ludzie i pojazdy. Wspomniana Nathalie Sarraute definiuje powieść jako „historię zdarzeń, w której działają i żyją postaci“. Z życiem postaci powieściowych łączył się dotąd opis świata, opis ich przeżyć, historia zjawisk i wydarzeń w określonym środowisku. Sarraute odrzuca to wszystko twierdząc, że tego rodzaju opisy nie powinny się mieścić w materii powieścio-

wej, że należy je pozostawić filmowi, telewizji, reportażowi. Cóż więc ma obejmować dana powieść, zwana obecnie — antypowieścią?

Posłuchajmy co na ten temat mówi sama Nathalie Sarraute w dyskusji ośmiu pisarzy w redakcji tygodnika literackiego „Les Lettres Francaises“ utrwalonej na taśmie magnetofonowej: „To, co staram się wyowiedzieć, nie może być zawarte w ramach powieści takiej, jak ją rozumiano dotychczas. Zajmuje postawę badacza w dziedzinie psychologii, innej pod wieloma względami od dotychczasowej psychologii klasycznej. Obserwuję stany psychologiczne w chwilach ich powstawania, stany niedostrzegalne bezpośrednio i jasno przez naszą świadomość, ponieważ tworzą się one gdzieś na granicy świadomości... Intryga powieściowa służy mi jako tkanina, która wiąże omawiane stany i zapobiega ich rozproszeniu się“.

A więc, w porównaniu z dawną powieścią — postaci powieściowe, ich charaktery, sytuacje życiowe nie posiadają już dla pisarki takiego decydującego znaczenia jak dawniej, są tylko środkiem badań i poszukiwań. Punkt ciężkości utworu przesunął się z dramatu, konfliktu czy przygody na inne, wyższe piętra uwagi pisarza. Sarraute poszukuje terenów, do których nikt jeszcze oprócz pisarza i przed pisarzem nie dotarł. A więc, już nie — historia zdarzeń, nie anegdota jest ważna w antypowieści. W przeciwieństwie do starego wzoru nowy model powieści byłby „historią procesu świadomości formującego postacie“.

Jeszcze dalej w kierunku antypowieści, poszedł głośny dziś pisarz francuski Alain Robbe-Grillet. Polskie tłumaczenia jego powieści pt. „Gumy“ z rysunkiem na okładce wyobrażającym re-wolwer zostało rozezwytane przez czytelników sądzących,

że kupują sensacyjną powieść kryminalną! Jakże jednak srodze się zawiedli naiwni poszukiwacze „kryminalów“! „Gumy“ są wprawdzie na pozór powieścią detektywistyczną, ale nie idzie w tej antypowieści, bynajmniej ani o to, kto kogo zamordował, ani o to, kto porwał trupy z kostnic. Na „akcję“ „Gumy“ składa się opis rzeczy i zamiatwane ruchy osób, które błądzą po mieście i po świecie nie bardzo wiadomo, czy w poszukiwaniu przestępcy, czy ofiary morderstwa, czy w poszukiwaniu samych siebie? Wszelkie przeżycia psychiczne są odrzucone. Na domiar osobowości bohatera jest wątpliwa, gdyż nie wiadomo do końca, kto jest przestępcą, a kto agentem kontrwywiadu, co dla autora wydaje się najzupełniej obojętne. Robbe-Grillet dąży do precyzyjnego opisu rzeczy nie interesując się człowiekiem jako istotą trójwymiarową i powodującą się rozumem i uczuciem. Ludzie w jego powieści to cienie błąkające się między martwymi przedmiotami.

Spośród grupy modnych „antypowieściowców“ francuskich najciekawszy i najgłębszy, moim zdaniem, wydaje się Michel Butor, autor powieści „Odmiany czasu“, również przetłumaczonej na polski. Butor zgadza się z poglądem Nathalie Sarraute, że literatura jest rodzajem instrumentu doskonałego świadomości ludzką i widzi zadanie literatury we wniki-nięciu w zmieniający się obraz świata i w przeistaczającą się świadomość człowieka. Jest on zdania, że literatura nie może istnieć poza rzeczywistością, czemu zdaje się zaprzeczać cała, nazbyt już wymyślna twórczość Robbe-Grilleta.

2. POLSKA PRÓBA

W Polsce próbę odnowienia gatunku powieściowego podjął Leopold Buczkowski, autor powieści „Wertepy“, „Czarny potok“ i „Dorycki kruczganek“. Próby te wyda-

ją mi się znacznie bardziej przekonujące niż wysiłki francuskich pisarzy. Buczkowski opisując w odbiegającej od przyjętego powszechnego sposobu zagładę Żydów na Podolu w czasie okupacji hitlerowskiej stosuje różnorodne, oryginalne chwytły powieściowe, nie trzyma się kolejności chronologicznej faktów, urywa jedne wątki, powtarza inne, stosuje śmiałe elipsy (wyrzutnie) i skróty. Wysiłki Buczkowskiego zmlerzają do przybliżenia czytelnikowi dramatu narodu żydowskiego i posiadają przez to dodatkowy, głęboki ludzki sens. Pisarz zmusza czytelnika, żeby zajął niejako pozycję osoby opowiadającej historię odtwarzanych wypadków (w ten sposób tylko można zrozumieć tragedię prześladowanych i wyobrazić sobie grozę apokaliptycznego obrazu), a nie żeby „z boku“ jako niezainteresowany widz oglądający uporządkowane w zwykłej kolejności sceny.

Natomiast utwory francuskich „antypowieściowców“ sprawiają wrażenie żartu intelektualnego wysokiej nieraz klasy, lecz tylko — żartu.

Czy można zatem wierzyć glosom, które mówią o „agonii powieści“, o tym, że powieść jako forma wypowiedzi artystycznej nie wytrzyma konkurencji filmu, radia i telewizji, i jeżeli nie przekształci się w „felieton“ lub „antypowieść“, to zostanie odrzucona i zapomniana? Sądzę, że tego rodzaju skrajne poglądy są podyktowane przesadnym pesymizmem.

Niewątpliwie jesteśmy świadkami kryzysu powieści. Od najdawniejszych czasów jednak, od słuchaczy eposu Homera aż po dzisiejszych czytelników Hemingway'a i Faulknera człowiek będzie pragnął wizji artystycznej odpowiadającej wrażliwości jego epoki i ogarniającej najnowsze problemy, którymi żyje ludzkość.



str 8 **odgłosy**

Echo Wyciągu Pokoju

- 1 -



biuro operacyjnej Metalowej i Mineralnej Kompanii Międzyplanetarnej było wielkim budynkiem z błyszczącego stopu chromowego.

John Nort zatrzymał się przed wejściem, aby obejrzeć swoje odbicie w polerowanej, metalowej ścianie, i z przejęciem wygładził mu zamrą, gdy zobaczył jak bardzo włosy przedyły mu na skroniach.

— Trzydzieści siedem lat to nie starość! — powiedział ze złością do siebie. — Nawet dla pilota kosmicznego to nie jest starość. Muszę wyglądać młodo!

Usiłując zachować uśmiech twarzy, szedł wzdłuż chromowego korytarza do gabinetu nowego kierownika kadr. Odczekał tam, zdawało się, całą wieczność, walcząc z głodowym zawrotami głowy. Wreszcie został wywołany.

Harker, nowy kierownik niecierpliwie spojrział na nerwowo chrząkającego Nortę.

— John Nort, sire, szukam pracy — powiedział Nort starając się upodobnić do plakatuwej postaci zgrabnego pilota kosmicznego. — Posiadam patent.

— Oficer międzyplanetarny, tak? — zapytał Harker. — No tak, potrzebujemy obecnie kilkunastu dobrych pilotów dla komunikacji z Jupiterem. Proszę o papiery.

To była chwila, której Nort najbardziej się obawiał. Powoli podał złożony, podniszczony dokument. Ramina jego pochyliła się nieco, gdy oczekiwała.

Kierownik kadr odwrócił porwany arkusz i zaczął czytać na odwrocie wykaz przebiegu służby. Wtęm podniósł oczy do góry.

— Trzydzieści siedem lat! — powiedział, rzucając świadectwo na biurko. — Po co pan tu przyszedł? Czy pan nie wie o tym, że Kompania nie angażuje



ludzi, którzy przekroczyli dwudziesty piąty rok życia?

John Nort z wysiłkiem zachował uśmiech.

— Mogę być użyteczny dla Kompanii, sire. Mam dwadzieścia lat praktyki astronautycznej.

— O dziesięć lat za dużo — odrzekł brutalnie Harker. — Pilot planetarny kończy się mając trzydzieści pięć lat.

- 2 -

John Nort poczuł, że jego słaba nadzieja gaśnie.

— Mój pierwszy lot — powiedział — odbyłem z Markiem Keriu w jego trzeciej ekspedycji.

— I pan, zdaje się, uważa, że nadaje się do pracy, ponieważ dwadzieścia lat temu był pan bohaterem? — zapytał niezłownie Harker. — Myśli pan, że należą się mu i teraz galony kapitańskie?

— Nie proszę o stanowisko kapitana — odrzekł Nort. — Przyjmę każdą pracę: na cyklotronie, przy dyszach, nawet na pokładzie. — Dodał z odcieniem błagania w głosie. — Potrzebna mi jest praca, bardzo potrzebna. A loty kosmiczne, to jedyny zawód, który znam.

Urzednik parsknął:

— Tym gorzej dla pana.

Nort zagryzł wargi i, aby ukryć swoje uczucia, zaczął patrzeć w okno. Zmęczony wzrok utkwił w wysokiej, lekko kolumnie wznoszącej się w promieniach słońca za kwadratową bryłą składów Kompanii.

To był Pomnik Bohaterów Kosmosu upamiętniający te miejsca, na którym rzed wieloma laty lądował Gorhem Jonsohn, gdy powrócił ze swego pierwszego lotu międzyplanetarnego. Nort przypomniał sobie ten dzień, gdy on sam wyskoczył ze statku w ślad za Keriu na spotkanie tiumu ryczącego w zachwycie.

Jak ślepy siedzi z powrotem błyszczącym korytarzem ściskając w dłoni swoje niepotrzebne świadectwo.

Nie chciało mu się powrócić do niedźnego domu na Killstone Avenue. Stary Peters, Wayty i wszyscy pozostali koledzy tak bardzo wierzyli, że on dzisiaj otrzyma pracę. Tak bardzo im wszystkim potrzebne są pieniądze.

Wzruszył ramionami. Kiedyś musza się dowiedzieć o jeszcze jednym niepowodzeniu.

Killstone Avenue była zaułkiem wśród wąskich uliczek wokół portu kosmicznego, zwanego w skrócie „Kosmoportem”. Jej brudne hotele, piwnice i tanie restauracyjki kuliły się, jak pokraczne karzeki, w cieniu olbrzymich składów Kompanii. Nort skierował do swe-

go domu i znużony wszedł po ciemnych schodach na zakurzoną mansardę, gdzie mieszkał z kolegami już blisko pół roku. Otworzył drzwi.

Stary Peters, który siedział w fotelu na kółkach odwrócił swoją siwą głowę.

— To ty, Johnny? — pisał mrużąc wyblakłe oczy.

Nort odwrócił się. Zbliżył się do niego Stenny. Mimo, że kończył już czterdzieści trzy lata, miał jasne, błękitne oczy czterastoletniego chłopca.

— Jutro odlatujemy, Johnny? — zapytał ciekawie Nort.

— Nie, jutro jeszcze nie. Stenny — łagodnie odrzekł Nort — być może pojutrze.

Senny powrócił do swego fotela w kacie i usiadł uśmiechając się z rozlaniem. Uśmiechał się w ten sposób już całe lata, od chwili gdy powrócił z ostatniego lotu z Venci ze wstrząsem mózgu.

Do Nortę podszedł Jan Dorak i pytając spojrział w jego zmęczoną twarz.

— Jak poszło, Johnny?

— Jak zwykle — powoli odpowiedział Nort. — Jestem za stary.

Zbliżył się Hansen, Connor, wysoki Wayty Johnes. Słyszeli jego słowa.

— To nic, oni do nas jeszcze się kiedyś zwrócą — szepnął z ufnością Lard Hansen.

— Do diabła z Kompanią! — zagrzmał Wayty, kudłaty, jasny olbrzym około czterdziestu lat i poklepał ze współczuciem Nortę po plecach swoją lewą ręką. Prawy rękaw zwiisał mu puści od kilkunastu lat, gdy pękła dysza na statku Venci. — Jesteś lepszym astronautą, niż te wszystkie nieopierzone mlókosi, co jeżdżą na ich szafkach!

Nort nie odpowiedział. Po co to wszystko jeszcze raz omawiać! Oni ciągle jeszcze uważają się za młodych pionierów-astronautów, latających z Keriu, Venci i innymi wielkimi odkrywcami, którzy otwierali nowe ścieżki w Kosmosie swymi historycznymi lotami.

Ale to było przeszłość. Tymczasem wszystko się zmieniło. Nawigacja międzyplanetarna rozrosła się w potężne przedsiębiorstwo drapieżnych biznesmanów. Walka o cenne metale i minerały na innych planetach powiększyła je z niezwykłą szybkością.

- 3 -

I w tym, podobnym do wybuchu rozwoju, o pionierach Kosmosu zapomniano. Wielu z nich umarło na skutek trudów pierwszych lotów w niepewnych, źle zapatrzonych, prymitywnych rakietach. Wielki Gorhem Jonsohn zginął w czasie swojej trzeciej podróży na Jupitera. Marek Keriu, jego znakomity następca, zginął po dwóch dalszych wyprawach. Venci niedługo żył po swoim zwiadowczym locie na Plutona.

Tym, którzy ocalili, powodziło się marnie. To było nieuniknione. Skarby Kosmosu dostawały się przecież w ręce magnatów finansowych, którzy ani razu nie opuszczając Ziemi, zorganizowali Kompanię Międzyplanetarną dla eksploatacji metali i minerałów. Pokłębła ona lub zniszczyła wszystkich drobniejszych konkurentów i zaczęła wysysać dywidendy z kopalni na innych planetach.

Starzejący się i zbiedniałi pionierzy kosmiczni trzymali się razem, nie tracili nadziei, że kiedyś znów będą latać. Ale obecnie zdawało się, że ostatnia szansa Johna Nortę i jego kolegów przepadała na zawsze.

Jedli chcieli i w milczeniu, następnie otworzyli puszkę z piwem syntetycznym. Słaby odbłask światła padał na tę przereźdaną grupę, gdy tak siedzieli ze szklankami i omawiali ostatnie plotki międzyplanetarne; o statkach kosmicznych, które uważano za zaginione; o rekordowym locie na Merkurego, o niedawnych nadużyciach finansowych Kompanii w Jupiterze.

John Nort słuchał z uczuciem posępnej beznadziejności. Gruda gorczy tkwiła mu w gardle. Zaprzagnął wyjść na ulicę, znaleźć się w samotności.

Otworzył drzwi i natychmiast zatrzymał się. Za drzwiami stała dziewczyna w eleganckiej białej sukni z jedwabiu syntetycznego.

— O, jak pan mnie przestraszył... — zawołała.

Nort obrzucił ją bystrym wzrokiem. Zaskoczony Connor podrapał się w swoją łysą głowę:

— Pani ojciec, miss?

— Nazywał się Torn Lourelle — wyjaśniła. — Pan pamięta?

— Jeszcze by też, oczywiście! krzyknął Connor. — On był głównym nawigatorem u Keriu na starym „Marzeniu Przeszłości”.

Była bardzo młoda, pełna wdzięku. Dojrzał jej ciemne włosy, jasne oczy, rozchylone czerwone wargi.

— Czy tutaj mieszkają ci ludzie? — poważnie zapytała wydoławszy notesik i czytając według spisu. — Mike Connor, John Nort...

— Tak, to jest nasza rezydencja — ironicznie odpowiedział Nort. Był przekonany, że rozmawia z przedstawicielką jednego z towarzyszy dobroczynnych, które usiłowały czasami udzielić tej małej grupie marniej jałmużny. — Czemu mamy zawdzięczać zaszczyt odwiedzin pani?

Dziewczyna, jak się zdawało, wyczuła niezłowność Nortę.

— Nazywam się Alina Lourelle — powiedziała niepewnie.

— A ja John Nort — odrzekł chłodno.

— Czego pani właściwie chce od nas? Connor, zawsze niezmiernie uprzejmy, zbliżył się, chcąc złagodzić nieuprzejmość Nortę.

— Wstyd, Johnny, czy tak należy witać najbardziej czarowne zjawisko, jakie kiedykolwiek odwiedziło tę zakurzoną norę? — Irlandczyk uczynił majestatyczny gest. — Proszę wejść, miss.

Alina Lourelle weszła niezdecydowanie.

— Pan jest Mike Connor, tak? — szybko zapytała. — Tak właśnie przypuszczałam. Ojciec opowiadał mi o panu.

Zgadza się, ja też go pamiętam — dodał Wayty Johnes. — Zdaje się zginął gdzieś koło Urana?

Alina poważnie skinęła głową:

— Tak, byłam wtedy jeszcze dzieckiem.

— Córnka Torna Lourelle'a — zawołał Connor. — No, to pani należy do nas! Hansen, dawaj krzeselko, tylko zetrzyj kurz z niego.

Connor przedstawił dziewczynie pozostałych kolegów, i wszyscy nieśmiało chwili głowę przed nią, której wygląd tak nie pasował do tego towarzystwa.

— Zapomniałaś o mnie! — rozległ się przemiłujący obrażony protest Petersa. Connor uśmiechnął się szeroko:

— Stary wódcza w fotelu na kółkach — to jest wszystko, co zostało z

- 4 -



Jasona Petersa, specjalisty od cyklotronów u Jonsohna.

— U Jonsohna? Gorlema Jonsohna?

— niedowierzająco zapytała dziewczyna.

— Pan z nim latał?

— Tak, młoda lady — dumnie pisał stary. — I nikt więcej na Ziemi nie może tego powiedzieć. Jestem ostatni ze wszystkich.

— Przypominam sobie teraz pani ojca — odezwał się Wayty Johnes swoim niskim głosem. — Umarł na Uranie od obrażeń jakich doznał, gdy usiłował odkryć złoża lewium na Oberonie.

— Tak, ja też to pamiętam — potwierdził Connor. — To był tylko jeden z wielkiej liczby wybitnych ludzi, którzy postradali życie z powodu fałszywego mitu o lewium na satelicie Urana — Oberonie, zwanym Gromowym Księżycem.

— To lewium wcale nie jest mitem — zaprzeczyła spokojnie Alina. — Ojciec znalazł je.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Gdyby tak było, to przecież grzmiałby o tym cały świat — powiedział Nort. — Nie ma wprost ceny za takie pokłady lewium, o jakich mówiło się! Pani chce powiedzieć, że ojciec pani przywiózł je po kryjomu...

Alina zaprzeczyła ruchem ciemnowłosej głowy.

— Nie, ojciec nie przywoził lewium z Oberona. Ledwie sam wrócił umierająco. Lecz odkrył tam złoża lewium. Ja to wiem.

Sięgnęła ręką do torebki i wydoławszy arkusik papieru położyła go przed nią. — Ojciec napisał to przed śmiercią — powiedziała — i oddał tę kartkę mojej matce. Matka niedawno umarła.

Nort głośno przeczytał kilka niewyraźnych wierszy skaczącego pisma:

„Złoża lewium w zachodnim z trzech wzgórz wulkanicznych wznoszących się z Płomiennego Oceanu. Ładowanie możliwe jedynie na bazaltowym płaskowzgórzu w pobliżu podłużnej zatoki na południowym brzegu. Zastosować podwójną izolację termiczną. Przeprowadzić na kamiennej tratwie. Wystrzągać się Ogniwików”.

— Co to są Ogniwiki? — zapytał Connor drapiąc się w głowę.

— To istoty żyjące na tej planecie — drzknął Wayty. Nort odezwał się z powątpiewaniem:

— Wszystko to nie jest jasne Ojciec pani mógł być w malignie. Prawie wszyscy, którzy powrócili z Gromowego Księżyca oszaleli po swoich przeżyciach w tym okiełnionym miejscu.

— Tak — mruknął Hansen. — Oto dlaczego ten szatański satelita jest prawie niezbadany. W każdym razie nikt obecnie nie wierzy w bajki o lewium.

— Gdy ojciec mój wrócił, miał w kieszeni taką rzecz — powiedziała Alina wydoławszy coś z torebki.

Była to mała, szklana próbówka z małym kawałkiem minerału świecącego łodowatym, niezwykłym, niebieskawym światłem. Świecąca odrobina spoczywała nie na dnie fiolki, lecz znadawała się na górze, przyciskając się do szklanego korka.

— Lewium — szepnął Connor. — Najdziwniejszy, najrzadszy minerał we wszechświecie! Nawet to mikroskopijne ziarenko warte jest krocie!

Dalszy ciąg za tydzień

Ogłaszajcie się

Dzisiaj wykład będzie na tematy prasoznawcze. Pan Osmańczyk stwierdził niedawno autorytatywnie i z okazji, że nasza prasa weszła w okres renesansu. Belfer podzielił jego pogląd, pragnie go prędko zilustrować a także jak najszerszej upowszechnić. Nie myśli za to pretendować do jednej z „odgłosowych” nagród, tej za upowszechnienie.

Najpierw pytanie: do czego służą gazety? Już widzę, ilu młodych Uczniów podniosło palce w górę i rwie się odpowiedzieć, że do pakowania śledzi. Odpowiedź zła! Nie śledzi, nieodkrywcza i o parę lat spóźniona!

Śledzi, bo gazety są codziennie, natomiast śledzi w sklepach raz lub dwa do roku, z czego wynika, że tych pierwszych używa się do innych jeszcze celów.

Nienowa, nieodkrywcza, bowiem mówiono już w angielskim parlamencie, jak podczas odbywających się dwóch zjazdów, dziennikarzy i sprzedawców ryb smażonych, ci pierwsi otrzymali telegram: „Brytyjczy rybomazżyciele przesyłają braterskie pozdrowienia dziennikarzom. Naszą pracę zawijamy w Waszą!”.

Wreszcie o parę lat spóźniona, albowiem nikt nie zmusza Was jak dawniej do prenumerowania drukowanych placht, które z tej racji, że owijały wszystko w tzw. bawełnę, miały wybitne właściwości pakunkowo-wyciółkowe.

Belfer postawił piątkę z plusem za odpowiedź, że dzisiaj gazety służą do ogłoszeń. O dowód na to łatwo w szczególności i w ogóle. W tych dniach np. mogliśmy przeczytać, jak pewien Pan Wysoko Postawiony obwieścił w trzech gazetach o ponownym swym wyborze. Rozmiarowo owo ogłoszenie było większe niż depesza Chruszczowa do Tito. W „Ekspresie” pewna popularna pani zaanonsowała o zaginięciu swojej suczki. Nawiasem mówiąc obie rewelacje redaktorzy upuścili. Bo miast je eksponować w ramach (otworzyć nawet rubrykę „Towarzystwie”) — sechowano pośród nie czytanych wiadomości politycznych. Gdyby to były rzeczy przez klientów opłacone, radziłbym reklamację. A tak to co? Mogę najwyższej ubolewać, iż ogłaszając wciąż wstydzimy się ogłaszać.

Tymczasem ogłoszenia — to potęga. Mogłby niejedno na ten temat rzec niejaki pan Adamus. Ow pan ogła-

szął się w dziesiątku gazet jako dostawca materiałów budowlanych. W końcu milicja dała o nim ogłoszenie. Wynika z niego dość pouczający opis wielce zmyślnego interesu. Klientów „z ogłoszenia” p. Adamus miał bez liku, brał od nich wpłaty i zapłaty, chociaż towaru nigdy ani przedtem ani potem nie dostarczał. Z prostej przyczyny, że go też nigdy nie posiadał, ani tym bardziej nie wytwarzał. W ten sposób dowód p. Adamus trwania tradycji w naszej rodzimej branży hochsztaplerskiej, postępu technicznego w tej dziedzinie, ale i tego, jak wielkie u nas jest w narodzie czytelnictwo gazet i ogłoszeń.

Czy trzeba zresztą wzywać aż na świadka p. Adamusa? A Wy, Uczniowie Mill, literaturą tą gardzicie? Belfer nie z innej gliny, też pożera i pochłania ogłoszenia. Wątroba go przestaje boleć, gdy widzi rekordowy pic i fotomontaż Totolotka z uśmiechniętą „babką”. Serce mu rośnie, gdy dystyngowany „Głos” kusi „Mikrusem” do zagrania w „Kukuleczkę”. Różnie patrzy na świat, kiedy pomyśli o multum nagród czekających go w ORS, o ile zechce kupić a raczej sprzedać się na raty. Czuje się bezpieczniejszy, mając pod ręką listę lekarzy od naskudnych chorób. Czuje, że nie jest stetrycznym belfrem, wobec zarówno obfitości jak i różności ofert w rubryce „matrymonialne”. Wreszcie bezczelnie pichci i upycha felietony, albowiem wie, rzecz jasna z ogłoszenia — iż w razie wyrzucenia go, ma zawsze szansę zostać ładowaczem i to za wcale gorsze honorarium.

Tak, Moi Drodzy, dzięki ogłoszeniom życie nabiera sensu i uroku. To wyjątkowa rzecz, gdy dzięki prasie coś nabiera sensu i uroku. Wystarczający powód, żeby stwierdzić jej renesans.

I historycznie biorąc jest renesans. Dawniej spożywać można było oprócz drętej mowy tylko nekrologi. Wesoło to nie było, albowiem za wężało nieco „perspektywę”. Natomiast teraz „wachtlarz” się rozszerza. Bo obok nekrologu znajdujemy anons o strip-teasie, nie mówiąc już o środkach antykoncepcyjnych i poradni świadomego macierzyństwa. W ten sposób jawić się zaczyna w prasie pełnia życia. Człowiek od pierwszych chwil aż do ostatnich, a także w międzyczasie. W całym bogactwie swej



nawet na Marsie
wszystkie niewiasty
stosują nasze
do podłóg pasty

CHEMICZNA SPÓŁDZIELNIA INWALIDÓW
im. I. Łukasiewicza

w Łodzi ul. Telefic. na 28, telefon 294-30

poleca

w najwyższym gatunku:

- pastę do podłóg bezbarwną i mahoń
- błyszcz do mebli bezbarwny i mahoń
- pastę do obuwia czarną, brąz i bezbarwną



NASZ ZNAK

natury. Dowodzi tego ogłoszenie bezprecedensjonalne: wyrok w imieniu PRL w „Expressie”. Wyrok ów rzeczy, że jedna pani nazwała jednego pana oszustem, szpiegiem i kryminalistą. Była na tyle nawet delikatna, że owe komplementy napisała w liście. Stąd wpadka i odsiadka z zawieszeniem. Rzecz jasna, wygodniejsze ogłoszenie niż odsiadka.

Precedens każe przewidywać dalsze uatrakcyjnienie łamów prasy, albowiem podaż tego typu spraw jest wielka. Maluczko, a ogłoszeniowcy zastąpią reporterów, depeszców, sprawozdawców, publicystów. Z pewną korzyścią dla wydawców i po części czytelników. Belfer zamierza także się przerwucić.

Albowiem jest przesądem, że ogłoszenia to jest jakieś „zło konieczne”. Bo jak wynika z powyższego — ani zło, ani konieczne. Ani też jak chcą poniekąd symptom nawrotu do prasy typu kapitalistycznego.

O co belfrowi tu suma-sumarum chodzi? Przyzna, że o nic. Rzecz jest absolutnie bezproblemowo - bezpouczeniowa. Ma bowiem zgola ogłoszeniowy charakter PANIE I PANOWIE! INSTYTUCJE I PRZEDSIĘBIORSTWA! OGŁASZAJCIE SIĘ NA ŁAMACH „ODGŁOSÓW”. W JEDYNYM PISMIE, KTÓRE DOCENIA OGŁOSZENIA JAKO OZNAKĘ RENESANSU NASZEJ PRASY. „ODGŁOSY” TO JEDYNE PISMO, KTÓREGO AMBICJA JEST BYĆ Z CZASEM WIELKIM BIULETYNEM REKLAM I OGŁOSZEŃ!

BELFER.

Dokończenie ze strony 2

sferu nieufności i zaniku form etycznych. Fakty pojedyncze przytoczone przez autorów, powyższego artykułu są tylko nimi, i nie wolno ich generalizować, co jednak w dużym stopniu zostało poczynione przez autorów.

Uchwycenie pojedynczego momentu „starszego pana z samochodem” ani też „powrót w futrze” nie świadczy o tym, że praktyki takie uprawiane są w sposób gremialny. Wątpliwym jest również przytoczenie szeregu innych podobnych faktów, na których autorzy opierają swoje wnioski.

Przez podciąganie całej sumy pojedynczych faktów pod wspólny mianownik zła jest dalece niesłuszny i myliłby się ten, kto sądziłby, że studenci nie mają nic innego do roboty jak tylko prowadzenie „uluszczonego sposobu bycia (gra w karty, picie wódki, etc.). Wystarczy spojrzeć w skali krajowej na osiągnięcia łódzkich studentów, w ich działalności kulturalnej, społecznej i ekonomicznej, aby od razu odrzucić atmosferę wytworzoną wokół tego artykułu.

O tym jak daleko można narazić osobiste uczucia wielu dziesiątek osób, świadczą zebrania, na których mieszkańcy i mieszkańcy osiedla wyrazili swoje niezadowolone, z powodu zniekształcenia cech codziennego ich życia i przedstawienia go tylko od czarnej strony. Artykuł ten przepojony jest zbytnią tendencją i nie wolno zapominać o tym, że wówczas kiedy pisze się o ludziach nie można uogólniać faktów.

Ponad 90% mieszkańców i mieszkańców na Bystrzyckiej to młodzież dobra, i od tej młodzieży należy zaczynać dyskusje nad rozstrzygnięciem spraw studenckich.

Czy oznacza to, że możemy przechodzić obojętnie obok pozostałej, zresztą nielicznej grupy? — Nie! Zło trzeba wykrywać i tępić w zarodku, trzeba jednak wyraźnie rozgraniczyć, że grupa ta stanowi tylko nieznaczny procent ogółu. Nie można w jednym zdaniu podać tego, co czuje i czym żyje młodzież studencka Łodzi.

Z poważaniem
STANISŁAW BAJUR

tylko w „ODGŁOSACH”

ZAKŁADY PRZEMYSŁU BAWELNIANEGO
IM. SZYMONA HARNAMA W ŁODZI UL. KILIŃSKIEGO NR. 2



produkuja
w różnych deseniach
i kolorach

tkaniny sukienkowe
kolorywane
tkaniny dekoracyjne
welwety
oraz drelichy
i płótno harcerskie

W następnym
numerze:

W zaczerpniętym
kręgu
chattur

— rzecz o zarobkach
pracowników
naukowych

Amerykańskiego humorystę, George'a Price — fascynuje RUCH. Ulubionymi rekwizytami tego rysownika są auta, samoloty, łodzie motorowe, wszystko co rusza się, pędzi. Nawet rybki w akwariach muszą być rybami latającymi. A spokojne i leniwe muły potrafią wspi-

nać się po gładkiej, pionowej ścianie skalnej. To nic, że wiele sytuacji przedstawianych przez Price'a, kłóci się w oczywisty sposób z tzw. zdrowym rozsądkiem. To nic, że humorysta ignoruje niektóre dość istotne prawa fizyczne, łączące z prawem grawitacji. Bo

przecież im większe nieprawdopodobieństwo — tym lepsza zabawa: Price znakomicie realizuje w swoich żartach, tę starą i wypróbowaną regułę komizmu. I choć żarty zbudowane są z absurdu i niedorzeczności, zyskały sobie duże uznanie. Price, dbając o oryginalność

i świeżość swych koncepcji — jednocześnie silnie wystrzega się nieczytelności pojęcia. A przez to stał się popularniejszy od szeregu swych amerykańskich kolegów, których zamiłowanie do absurdu prowadzi często na manowce niezrozumiałstwa. Debiutował Price z po-

czątkiem lat trzydziestych jako ilustrator podrzędnych, brukowych magazynów ilustrowanych w Chicago. Dopiero nawiązanie współpracy z „New Yorkerem” określiło wyrażnie jego profil artystyczny i zapewniło szeroki rozgłos. Dwadzieścia pięć lat współ-

pracy z tygodnikiem „New Yorker” przyniosło imponujący dorobek: Price wydał w USA aż jedenaście tomów swoich żartów, świetnie przyjętych przez krytykę i czytelników.

J-ERT.

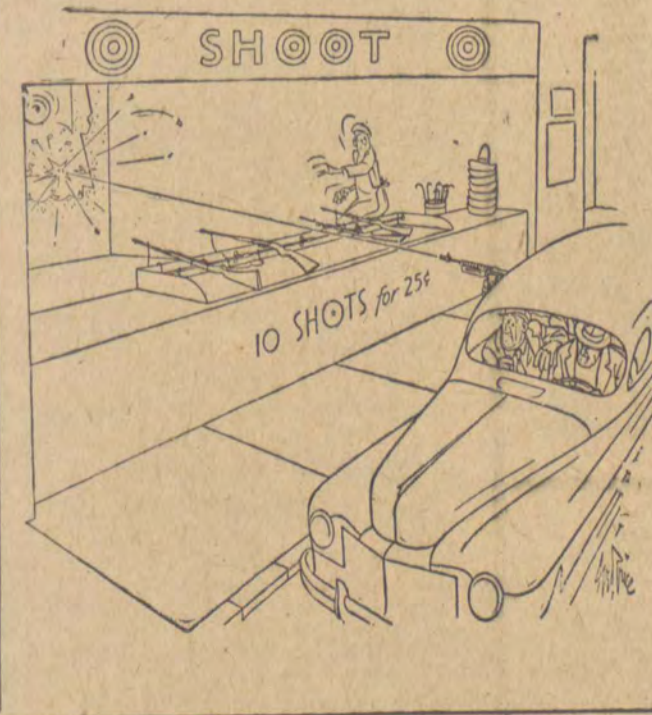
GEORGE PRICE



— On bardzo lubi szelest drobnych kroków.



— Nie mogę pani sprzedać ani jednej rybki. To by zmiało szuk eskadry...



Redaguje Zespół. C. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” C. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 88. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamawia rekwizytów, nie zwraca. C. Prenumerata przyjmowana w punktach pocztowych. Listonosze oraz PUPIK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 1 — 4-679 z zaznaczeniem na „Czytelnik”. Druk — w „Prasie” — Łódź, Zwirki 11. 2. 1710. VI 59. S-3



— Nie uważasz, że te muły świetnie chodzą po górach?..

Między Szaniny

Pod redakcją Janá Huszczy

Dawno, niestety, minęły czasy felietonistów typu Lama lub Prusa. Felietonista współczesny rzadko występuje z jakąś zasługującą na aprobatę racją, ale stara się wyłącznie o błyskotliwość i dowcip. Za każdą cenę. Dowcipny zaś bywa wtedy, gdy po kims lub po czymś bezceremonialnie „przejeżdża się”.

Taki dowcipny felietonista, gdy nie ma tematu, zawsze wraca do humoru i satyry, aby jeszcze raz katagorycznie odmówić tego typu twórczości niemal prawa do istnienia, oceniając jedynie siebie. Mrożka, Gombrowicza i paru swoich kompanów.

Coś podobnego przydarzyło się ostatnio i stałemu felietonistom „Nowej Kultury”, występującemu pod inicjałami „KTT”.

„Wziął na warsztat” satyrę, suchej nitki na niej nie zostawiając. Zbieg okoliczności sprawił, że w tym samym tygodniu inny gderliwy felietonista („Jeż” w „Życiu Literackim”) w krótkiej recenzji, poświęconej nowej książce Usekli, także w paru zwięzłych zdaniach w czambuł potępił satyrę.

Zdarzenie raczej typowe. Obaj felietoniści w jakichś szczegółach mają zapewne rację. Cóż, kiedy racja w taki wyrażony sposób natychmiast przestaje nią być. „Krajowa humorystyka” rzeczywiście wymaga merytorycznej, opartej na znajomości książek i aktualnej sytuacji, krytyki. Zdarzała się zresztą i taka krytyka. Sami „krajowi humorysty” nieraz zabierali głos, rzeczowo rozstraszając swoje (liczne!) wady i (mniej liczne!) zalety. Są to

jednak zjawiska występujące sporadycznie. Do ustalonych natomiast obyczajów należy kwitowanie milczeniem książek tychże „krajowych humorystów” lub najwyżej ich „chowanie”. Nadal nie widać wśród znacznych krytyków i recenzentów literackich cierpliwych ogrodników, dostrzegających słabości i osiągnięcia humorystyki oraz potrzeby masowego czytelnika, gdyż uwaga takiego właśnie — mimo wszystko — cieszy się satyra. Bo przecież sam fakt — choć już o tym aż przykro przypominać — że coś nie bawi i nie interesuje „KTT” lub „Jeża” jeszcze wcale a wcale nie oznacza, iż to „coś” zasługuje na bezwzględne dyskwalifikacje, albo, że nie jest potrzebne innym czytającym ludziom.

„KTT” drukuje swoje felietony w piśmie, któremu należy życzyć (i życzymy) 10.000 nakładu. W dodatku wielu fragmentów jego felietonów — nasyconych aluzjami do kawiarnianych wydarzeń warszawskich — nie potrafili zrozumieć nawet czytelnicy tejże „Nowej Kultury”. Odsadzana zaś przez niego od jakiegokolwiek zalet humorystyka dociera do czytelników poprzez pisma, których nakład — z grubszą licząc — kształtuje się w pobliżu 500.000 egzemplarzy. Do jasnej cholery — jakby powiedział redaktor naczelny „Nowej Kultury”, Stefan Żółkiewski — to coś znaczy!

P.S. „KTT” jednym z temów wymienia w swoim felietonie, pod jeden właściwie podciągając mianownik, „Karuzelę”, „Szpilki”, „Kaktusa” i „Kocynadra”. Jeśli ktoś te pisma rzeczywiście uważnie czyta, to łatwo, może dostrzec poważne między nimi różnice. Dla przykładu: „Kocynadra” w ogóle nie wychodzi!!!

WŁODZIMIERZ SZCZIGŁÓW

TRZECH SYNÓW

Trzech ma ojciec, a syn w syna...
Pierwszy rzekł roztropnie: — Po drabinie chcę się wspinać
Tytułów i stopni!
Drugi ojcu mówi dumnie: — Konia i ostrogi!
Nie zatrzymuj, ojcze, tu mnie! Będę walczył z wrogiem!
Trzeci milczy, ojciec przeto

Sam go zapytuje: — Czym chcesz zostać?...
— Ja? Poeta!
Powołanie czuje!
Syn najstarszy ma już dzieć I szacunek w mieście, Generałem drugi... Trzeci Zaginął bez wieści. 1870 r.
Dalszy ciąg przekładów w następnym numerze

ZYGMUNT FIJAS

Kazanie o juvenaliach



Był letni dzień. Szare krakowskie niebo pokryte było licznymi kłębiastymi chmurami. Wzdłuż meteoroków jest znamieniem nasuchy. I nasucha była wściekła. Na Saharze. Konie na ulicy Leżnowskiej nie miały siły oderwać swych kopyt od rozmiękłego asfaltu. Języki przysychały od odniebienia, skóra bolała od skwaru.

W nieistniejącej już dziś (nie wiadomo dlaczego) kawiarni „Plastyków” mecenas, malarze, towarzyszące im s.o. by z ziemiaństwa drzemali nad szachami i rowkami czarnej. Było cicho, żółto, śpiło i niepotrzebnie.

I oto w ciszę kawiarni ktoś rzucił donośnym basem: dupa. Trzeba było słyszeć ten dubuch śmiechu, który wzbudził kołanami kawiarni, trzeba było widzieć te raptem odłobiniale twarze, aby uwierzyć w moc teatralnego wyrażenia rzuconego w przyzwyczajone nudo miejsca publicznego. Wyraz ten i ział jak nieoczekiwany dowcip, tryskający nieoczekiwanie w czasie nadanej słowolejstwa akademii: był czepczym, odrzucił na nagromadzone w ciałach i duszach kwasy, iskry dla wściekłego w ludziach buntu przeciw nudzie.

Przed wojną w Krakowie uczennica Xawerego Dunikowskiego, później znana rzeźbiarka i malarka (dziś już nie żyjąca), pokazała ciele na maskaradzie w nocniku na głowie i z napisem zastrzeżonym w strzałce skierowaną w kierunku podstawy pasków: „Tam, tu!” Trzeba było słyszeć śmiech wywołany tym pomysłem. Na ten sam bal jeden z naszych poetów przyjechał na dorozkarskim koniu.

Czy był iskra na pół obnażony pośladek studenta na trzydziestych krakowskich juvenaliach?.. odprężeniem dla u-

czestników młodzieńczych saturnalniów, którzy przeszli przez miasto w majtkach i kałesonach, powiewszy sobie na pośladkach rondle lub napisy „tu nie garaż”, „pederasto, szukam ciebie” i powtarzali: „d.a. d.pa, dupa”?

Pamiętam pewien pochód łódzkiej młodzieży, na którym Łódź pokazała to wszystko piękne i rozradowane. Widzieliśmy młodzież w barwnych kostiumach i sukniach balowych wypożyczonych z teatrów — ale nikt z uczestników tej esolej maskarady nie zastąpił dowcipu pokazaniem sw. o obnażonego pośladka.

Czy łódzka młodzież nie ma potrzeb takiego dowcipowania, protestowania przeciwko w. solce i i nuda szablono? Czy już zupełnie uśniala w czasie ludów, skoro zdobywa się li tylko na przejście po Piotrkowskiej w teatralnych strojach?.. Czy już został dokonany tak wielki w mentalności łodzian, że mieszkający polskiego Manchesteru przyjeźliby potawienie się studentów i studentek w kałesonach i majtkach jako rzecz naturalna w tych czasach rozprowadzania środków antykonceptyjnych niemal w szkołach podstawowych? Amen.

Te pytania rzucam pod adresem Jerzego Łukasika i Wiesława Machefki, którzy w ostatnim majowym nrze „Ołgosiów” zamajomili nas z treścią tegorocznych krakowskich Festiwalu Młodzieży „wielka rzecz” a nie nie powiedzieli nam o wielu wulgarnych pomysłach tej int-resującej obyczajowo imprezie.

